MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 1. WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.



NARÓD I JEGO ZWIERCIADŁO

NOWY ROK jest niby takim samym dniem jak inne, jednak zaczynamy liczyć od niego nowy okres czasu, więc pobudza to do zastanawiania się nad tem, co przeżyliśmy i co nas czeka w najbliższej przyszłości. I niejeden z nas zamyśli się przytem niewątpliwie nad genezą tych pierwiastków, które obecnie w Polsce prym wiodą, a których zjawienie się na powierzchni życia polskiego było dla wielu niespodzianką i zagadką.

W niedawno wydanej po polsku książce angielskiego uczonego E. Barkera p. t. „Charakter narodowy" można znaleść obszerne i nieraz głębokie rozumowania nad rolą, jaką w kształtowaniu charakteru narodowego odgrywa nadbudowa psychiczna, tworzona przez duchowe dzieła narodu, a która wraz z podłożem materjalnem, jak rasa, warunki geograficzne i t. d. stanowi nieodłączną cechę i istotną część jestestwa narodowego. Na tę nadbudowę składają się obok tworów prawnych, instytucyj ustrojowych, jakie dany naród siebie wyrobił i rozwinął, oczywiście również takie płody jego myśli, jak dzieła sztuki, literatura, a w naszem doniedawna położeniu, kiedy, z braku samodzielnego życia, twórczość ustrojowa z natury rzeczy była przytłumiona, właśnie gałęź dorobku myślowego, skrystalizowana w literaturze pięknej, musiała większe niż gdzieindziej posiadać znaczenie. Było to jedno z pełniejszych zwierciadeł, w którem odbijało się życie narodu, a odbity wizerunek wpływał na urabianie wyglądu duchowego pierwowzoru. Wizerunek człowieka w Polsce poczciwego nie był tylko portretem, lecz i formą, kształtującą czytelnika.

Jakież to obrazy działały w ten sposób kształtująco na ostatnie pokolenia, wzrastające przed wojną? Czyje syntezy poetyckie miały te pokolenia za chleb codzienny? Możemy je sprowadzić do dwóch twórców, do dwóch nazwisk: Sienkiewicz i Żeromski, a ich stosunek wzajemny najlepiej chyba określi notatka z wydanego w ostatnich prawie dniach „Dziennika Podróży" Żeromskiego. Notatka ta, odnosząca się do r. 1907 i zawierająca niejako program znakomitego pisarza, brzmi: „Nie schlebiaj nikomu! Mów prawdę, jak w nią wierzysz. Gdyby nawet była błędem, mów ją bez względu na wszystko. Walcz z Sienkiewiczyzmem, to znaczy ze schlebianiem masie, która w danej chwili ma siłę władną, z pokrywaniem nędzy polskiego bytu frazesem „kiczliwym", jak mówią moskale, który się największej ilości ludzi podoba". A dalej: „Ludzie mojego kraju! Iluż z nich nienawidzę i jak ich nienawidzę. Nigdy tak cudzoziemca nienawidzieć nie można, jak się nienawidzi podłego rodaka".

Na czem polegało owo sienkiewiczowskie „schlebianie", jak dziś z pewnego już oddalenia możemy oceniać ten ustęp pamiętnika? Sienkiewicz malował swoje wizerunki społeczeństwa polskiego bardzo wiernie, dawał pełną galerję typów dodatnich i ujemnych, ludzi rozumnych i głupców, pełnych wartości i pustych snobów, idealistów i geszefciarzy; ogólne jednak wrażenie odbierane z tego było raczej dodatnie. Były to obrazy zbiorowiska ludzkiego, naogół na dobro całości czułego, w którem nie brak jednostek pracujących z myślą o dobru ogólnem, gotowych i zdolnych do poświęceń na rzecz tego dobra. Schlebianiem może nazwać to tylko dusza zgorzkniała; dziś wiemy chyba, że obraz sienkiewiczowski odpowiadał rzeczywistości; inaczej przecież trudno sobie wyobrazić, żeby naród bez przymiotów w tym wizerunku widocznych mógł przetrwać i przetrzymać długą niewolę. Nie dziś przecież napisano, że upadać mogą narody wielkie, giną nikczemne.

Obrazy Żeromskiego, kreślone w myśl notatki pamiętnika: „mów prawdę, jak w nią wierzysz. Gdyby nawet była błędem"... są zgoła inne, odbite w jakiemś potwornie wykrzywionem zwierciadle. Codzienny ogół polski składa się tam w najlepszym razie z psychopatów, roi się w nim od wszelkiego wogóle rodzaju zaprzańców, służalców i szubrawców, zwłaszcza wśród t. zw. klas posiadających, i to posiadających chociażby coś bardzo skromnego, trudno znaleść tam już nie jakąś osobistość wybitnie dodatnią, lecz zwykłego, przeciętnie uczciwego człowieka. I w tej nikczemnej glinie świeci tu i owdzie umieszczony brylant, idealista, gotów do poświęceń — Człowiek Bezdomny, jedyna nadzieja i ostoja.

Człowiek bezdomny (w praktyce zresztą najczęściej dobrze zadomowiony), lub pozujący na niego działacz otrzymał w tych, z wielkim talentem kreślonych obrazach swe święcenia. Został uznany za sól ziemi i przeciwstawiony lichocie ogółu, otrzymał sankcję do uważania się za elitę.

Myślę, że przypomnienie sobie o tem ułatwi bardzo zrozumienie naszej rzeczywistości, boć przecież Polską rządzą dziś ludzie wykarmieni na Żeromskim. Człowiek bezdomny nie czuje oczywiście potrzeby wiązadeł, łączących go ze społeczeństwem, przeciwnie dumny być musi ze swej izolacji. Wszak reszta — to licha ruda, materjał do eksperymentów. Wbity w pychę wierzy niekiedy naprawdę, że od niego dopiero się wszystko zaczęło: widać to najlepiej w nieustannem obnoszeniu faktu, że w pewnym momencie poszedł na wojnę, jak gdyby nie wiedział o tem, że w tysiącletniej historji Polski niema jednego pokolenia, któreby na wojnę nie chadzało i że nigdy tego przecież nie uważano za nadzwyczajność, jak się nie uważa za nadzwyczajne, iż w 1920-tym roku poszło jeszcze bez porównania więcej ochotników.

Czy długo jeszcze kult człowieka bezdomnego w obrazach Żeromskiego będzie wpływać na kształtowanie się u nas charakterów? Nie sądzę, bo jednak te rzeczy blakną i płowieją, a do głosu dochodzi prawda życiowa. W zwierciadle życia narodowego ukazuje się już nawet obraz nowy, pełen prawdy i epickiego spokoju: mówię o pierwszych dwóch tomach „Nocy i Dni“ M. Dąbrowskiej. Mamy tam wizerunek doby bardzo ciężkiej, bezpośrednio po zdławieniu powstania, gdy tempo życia narodowego z natury rzeczy osłabło. A jednak obraz ten jest krzepiący. Codzienne, szare życie, nie pozbawione jednak myśli ogólniejszej, chociażby w drobiazgach. I jest tam powstaniec Niechcic, który cudem uszedł śmierci, wyciągnięty z pod stosu trupów na pobojowisku, nie lubiący nawet mówić o tem i nie zgłaszający z tego tytułu żadnych do społeczeństwa pretensyj. On będzie trwalszym wzorem do naśladowania.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

DWA BIEGUNY WSPÓŁCZESNOŚCI

I

GDY PRAGNIEMY wyodrębnić i scharakteryzować jakąś epokę dziejową, dziwnie się plączą ze sobą heraklitowska zasada *„panta rhei“* z melancholijnem westchnieniem Ben Akiby: „Wszystko już było“. Boć to z biegiem czasu zmieniają się niektóre przejawy bytu, gdy inne pozostają i utrwalają się, zaś jeszcze inne powracają do życia z epok zaprzeszłych; mijają niektóre fenomeny, lecz utrzymuje się podłoże, na którem wyrastają nowe fakty; giną indywidua, ale trwa gatunek. Prócz tego zmienia się intensywność i napięcie niektórych przejawów, ich ugrupowanie i układ hierarchiczny; to się zaognia, tamto — przygasa.

Dziś żyjemy oto w stadjum szczególnego zaognienia zasadniczego problematu bytu: stosunku człowieka do Boga. Sprawa jednak ma swą postać specyficzną. Jest to problem, oczywista, religijny, lecz nie w stereotypowej swej postaci: ani w tej, którą nam zachowały wieki średnie z XVI w. włącznie, gdy różne wiary występowały ze sobą do walki, ani też w owej postaci z w. XVIII i XIX, gdy przeciw wierze się zbroił rozum. Słowem, acz w najgłębszej swej istocie jest to walka o religję, jednak przeważnie ani religijnych, ani też filozoficznych haseł nie wypisuje się dziś na sztandarach. Front walki dzisiejszej — to wszechstronnie pojęte życie; zawołanie — wola; woluntaryzm, telemocentryzm — to atmosfera epoki; absolutna niezależność człowieka — to stawka.

Prawda, że wieki XVIII i XIX, wysunąwszy zagadnienie twórczości, przygotowały grunt pod zasiew tych ziarn, które wschodzą dopiero w oczach naszych. Sama etymologja wyrazu „twórczość“ skojarzyła ją odrazu dość ściśle z pojęciami oryginalności, postępu i ewolucji, to też zdawało się, że monopol na twórczość mają heroldowie całego kompleksu pojęć powyższych, tembardziej, że zwolennicy dawnych, tradycjonalistycznych poglądów często dziwnie niezgrabnie ich bronili. Wszakże taki Chateaubriand nie był w stanie przyjąć ewolucji choćby w najbardziej umiarkowanej jej postaci. Więc w swym „Genjuszu chrześcijaństwa“ (1802) tak pisał: „Bóg musiał stworzyć i niewątpliwie stworzył świat ze wszystkiemi cechami starości i wykończenia, które dziś dostrzegamy“. Dalej zaś, rozwijając swą tezę, Chateaubriand mówi o jednocześnie powstałych starych lasach i młodych gajach, o zwierzętach, z których były *„les uns remplis de jours, les autres parés de grace de l'enfance“*, oraz przypuszcza nawet, iż sam „człowiek-król urodził się w wieku lat 30, gdy jego towarzyszka liczyła z pewnością 16 wiosen“. Autorowi się wydaje, że bez tej „początkowej starości nie byłoby ani pompy, ani majestatu w dziele Przedwiecznego“ „(*Jeunesse et Vieillesse de la Terre*)“.

Oczywiście tego rodzaju rygorystyczne trzymanie się pojęć tradycyjnych podkopywało raczej powagę wiary, której Chateaubriand służył, i ułatwiało zwycięstwo ideologji w. XVIII, co się szerzyła nie tyle dzięki istotnym swym walorom, ile dzięki bezwzględnym metodom walki, sprawnej organizacji kierowniczej (masonerji), oraz — przedewszystkiem — dzięki niedołężnej obronie zwolenników Tradycji i Objawienia, którzy zrezygnowawszy z ofensywy, zamknęli się w Okopach św. Trójcy, otoczeni przez bojową, rzutką i przedsiębiorczą gromadę Pankracych i Leonardów, już nie wierzących „w kasty, w kości prababek, w słowo: ojczyzna, i tam dalej“.

Wbrew jednak spodziewaniom tych, co wypowiadali swego czasu walkę tradycyjnym podstawom chrześcijaństwa, uzurpując sobie, niemal bez protestu strony przeciwnej, miano „postępowców“, dziś, po dwu wiekach, teren walki nie wygląda tak prosto i nieskomplikowanie, jak to było jeszcze niedawno, jeszcze—powiedzmy—za czasów pozytywizmu, gdy, zdawało się, ostatecznie nastąpiło zróżniczkowanie dwu i tylko dwu obozów: obskurantyzmu i postępu, zupełnie zautomatyzowanej, nietwórczej większości i twórczej ruchliwej mniejszości, dążącej, że użyję terminu Rozwadowskiego [1]), do wszechstronnej dysautomatyzacji kulturalnej.

Niebywały kataklizm dziejowy w postaci wojny światowej przyśpieszył fermentację wyobrażeń

[1]) „Kwartalnik Filozoficzny“, 1922, nr. 1. „Zjawisko dysautomatyzacji i tendencja energji psychicznej“.

i ową, tak pożądaną dla elementów rewolucyjnych, dysautomatyzację, lecz bynajmniej nie zapewnił zwycięstwa rewolucji, gdyż obok tamtych dwu obozów z dniem każdym rośnie i wzmaga się na siłach obóz trzeci, złożony z ludzi niepodległych duchowo i nie mieszczących się w utartym podziale szablonowym.

II

Jak teraz scharakteryzujemy te trzy grupy? Rzecz jasna, że chodzi nam tylko o ich psychologję, więc np. terminologja Marxa nietylko tu nie może być pomocna, lecz raczej byłaby przeszkodą. Mickiewicz trafnie mówi, że „można być w łachmanach chłopa albo w bluzie robotniczej, i do ludu nie należeć, a można odwrotnie, błyszczeć od złota, i mieścić się w ludzie“ (Prelekcje IV, 3). Podobnież można całą sumą interesów materjalnych, jako też duchowych być związanym ze *status quo ante*, a jednocześnie podpiłowywać gałąź, na której się siedzi, apoteozując ową rewolucyjną dysautomatyzację.

Nawracając teraz do tytułu niniejszego szkicu, z łatwością zdajemy sobie sprawę, że znaczna część osób, dokoła nas żyjących, psychicznie ze współczesnością nie jest związana. To bierna masa, pozostająca w stanie bezwładu, poddająca się instynktowi lenistwa, oportunizmowi i przyrodzonemu konserwatyzmowi. Gdyby można o filozofji tego tłumu mówić (a w tem sęk, że to rzecz całkowicie beznadziejna) — to byłby nią determinizm.

Od tej masy odłamuje się wielki świat ludzi współczesnych, których, jak mówiłem, cechuje niebywałe napięcie woli. Ale ci ludzie współcześni — i tu jądro zagadnienia — nie stanowią bynajmniej obozu jednolitego. Ci woluntaryści, o zdecydowanie indeterministycznym typie duchowym, to dwie całkiem różne gromady: jedni — to rewolucjoniści, prawi spadkobiercy wieku oświecenia i masonerji, zdecydowani wielbiciele zupełnej dysautomatyzacji,[2]) — gdy tymczasem drudzy, którychbym nazwał obozem twórców, pragnęliby nałożyć owej dysautomatyzacji cugle, gdyż czują się spadkobiercami całych wieków chrześcijaństwa i powołanymi budowniczymi przyszłości.

Filozofja grupy pierwszej, którą już będziemy nazywać grupą rewolucjonistów, to doktryna absolutnego indeterminizmu. Zaciera się tu granica pomiędzy możliwością a prawdopodobieństwem, a nawet samo pojęcie niemożliwości istnieć przestaje. Rzeczywistością rządzi tylko wola człowieka, która wydaje się tembardziej wszechmocna, im z mniejszą płaszczyzną rzeczywistości się styka. Przedmiot w znaczeniu dosłownem, w sensie etymologicznym *(der Gegenstand)*, ogranicza wolę: gdzie tedy niema poczucia rzeczywistości — wola się wydaje nieograniczona, ręce się same prężą do „radosnej twórczości“.

[2]) Aby być w porozumieniu z czytelnikiem, odrazu muszę stwierdzić, że główny ilościowo kontyngens owych rewolucjonistów stanowią dezerterzy, zrosyjska „pierebieżczyki“ z owego obozu deterministyczno-konserwatywnego. Oportunizm, brak prawdziwych filozoficznych, religijnych i politycznych przekonań, niezdolność do logicznego myślenia, do odróżnienia istoty rzeczy od pozorów, rzetelnych zwycięstw od chwilowych sukcesów, przedewszystkiem zaś ordynarny strach — oto źródło tak dziś pospolitych rewolucyjnych karjer *prince*'ów *Egalité* i Ojców Chrzestnych z „Nieboskiej“. Bieżąca polityka w różnych krajach dostarcza aż nadto licznych przykładów takich dezercyj. Któż wątpi, że ci „czwartobrygadowcy“ przy pierwszej okazji zdradzą swych dzisiejszych sprzymierzeńców?

Doskonałą psychologję tych stanów duszy, hołdującej wiednie czy bezwiednie teorji absolutnego indeterminizmu, dają nam naczelni pisarze tego narodu, dla którego obywateli zakres indywidualnej, a zwłaszcza społecznej i politycznej twórczości był od wieków najbardziej ograniczony. Mówię, rzecz jasna, o Rosji.

Otóż Tołstoj w jednej ze swych młodzieńczych powieści p. t. „Kozacy“ (1852) tak charakteryzuje swego bohatera:

„Mając lat 18, Olenin[3]) był tak wolny, jak tylko bywali wolni rosyjscy młodzieńcy w latach czterdziestych („*sorokowych godow*“), osieroceni w wieku młodzieńczym. Nie czuł on żadnych ani fizycznych, ani moralnych ograniczeń; mógł czynić wszystko, niczego nie potrzebował i nic go nie krępowało. Nie miał on rodziny, ani ojczyzny, ani wiary, ani też poczucia ich braku. W nic nie wierzył i niczego nie uznawał“.

Dostojewski tego rodzaju złudzenia „wolnego“ Rosjanina jak gdyby bierze na serio: *„Straszno, do kakoj stiepieni swobodien duchom russkij czełowiek, do kakoj stiepieni silna jewo wola“*. To też jego Iwan Karamazow za hasło swe bierze: *„Wsio dozwoleno“*.

Rzecz ciekawa, że podobne zjawisko absolutnego indeterminizmu maluje Romain Rolland w charakterystyce Jana Krzysztofa, tylko że francuski autor tłumaczy nam źródło tej osobliwości:

„Il se croyait libre parcequ'il s'était degagé de toute autre loi que celles de sa conscience“. (Dans la maison).

Nie dziwota, że człowiek pozbawiony poczucia prawa poza nim, prawa, które krępuje jego wolę, a wypływa z samej istoty rzeczywistości, skoro jej nie zna i, poprostu, nie rozumie, nie może uznać także konsekwencyj, tkwiących w bycie, i łatwo ulega złudzeniu o bezgranicznej woli własnej, wołając wraz z Gilles de Rais, owym rycerzem św. Joanny:

„Il n'est personne sur la planéte qui ose ainsi faire“, (Huysmans — Là bas), lub też jak nasz Popiel w „Królu-Duchu“:

„Nic niema na niebie.
Ja sam jak Pan Bóg będę sądził siebie“.

III

Jednak nie o pojedyńcze jednostki nam chodzi w tym szkicu. Zastanawia nas raczej ta psychoza, która się udziela w pewnych momentach zwrotnych całym społeczeństwom, doprowadzając je w sposób nieunikniony do katastrofy. W jakich to warunkach na drzewie przyrodzonego determinizmu tłumu przeszczepia się płonka owego rewolucyjnego szaleństwa?

Sądzę, że źródłem wszelkiej rewolucji jest brak twórczości w okresie bezpośrednio ją poprzedzającym. Gdy konwenans i szablon stłumią życie i doprowadzą je do zupełnego zautomazywania, musi nastąpić dysautomatyzacja gwałtowna, paradoksalna, tem jaskrawsza, im zupełniejszy był zastój uprzedni. Gdy przez dłuższy czas konwenans był prawem, musi nastąpić moment, gdy, przeciwnie, prawo wyda się konwenansem. Gdy wreszcie względnie łatwo udało się zerwać z fetyszem chwilowym, zachwieją się w skutku wartości istotne. Wtedy dysautomatyzja ogarnia swą falą nawet te dziedziny, gdzie automatyzacja była procesem koniecznym. Albowiem wszelka poprzednia hyper-automatyzacja, pociąga za sobą w bezwzględnej ko-

[3]) Olenin, Lenin *nomen omen!*

nieczności zjawisko hyper-dysantomatyzacji, najczęściej bardziej jeszcze szkodliwej, niż owa hyper-automatyzacja, którą tak potępia Rozwadowski, wyśpiewując natomiast hymn na cześć dysautomatyzacji: „Dysautomatyzacja — to życie, narodziny, młodość; zautomatyzowanie — to starość i śmierć“.

Z powyższą tezą walczy, jak sądzę, zwycięsko Zygmunt Wasilewski w swych „Dyskusjach“. Boć to dziwna, że Rozwadowski jakgdyby nie pojmuje, iż jeśli może być przejaskrawienie automatyzacji, prowadzące do zastoju i w skutku do śmierci, to zbyt gwałtowna dysautomatyzacja jest poprostu sama śmiercią, rozprzężeniem, nicością, że dalej sam fakt dysautomatyzacji nie jest koniecznie twórczością; przeciwnie, w wyjątkowych tylko wypadkach nią bywa, przeważnie będąc jeno zniszczeniem i negacją, czczą i pustą reakcją uczuciową, wreszcie przekorą.

Kapitalny tego przykład daje nam Dostojewski w „Biesach“: Stawrogin, zuchwały panicz, „barczonok“, gdy „jeden z najbardziej szanownych gospodarzy klubowych, człek stary i zasłużony, powtórzył przy nim w dość licznem towarzystwie swe ulubione przysłowie: „Nie, nikt za nos mnie nie poprowadzi!“ Stawrogin, co stał dotąd na uboczu i nie wtrącał się do rozmowy, podszedł nagle do szanownego jegomościa, nieoczekiwanie mocno pochwycił go za nos dwoma palcami i zdążył go pociągnąć przez salon parę kroków“ [4]).

Czy tego rodzaju jaskrawa dysautomatyzacja w sferze konwenansów towarzyskich, której tysiące przykładów dostarczają właśnie Rosjanie, jest objawem twórczym choćby w tej dziedzinie? Wątpię.

Ale jakże często bywa metoda w tem szaleństwie, konsekwencja w tej nieustannej niekonsekwencji! W życiu osobistem takiej jednostki, której uwaga jest nastawiona ciągle na dysautomatyzację, panuje swawola, absolutny brak dyscypliny moralnej, rozluźnienie obyczajów i rozpusta, w wyniku zaś zupełny rozkład rodziny. W literaturze, sztuce, a nawet nauce rozkwita pogoń za zupełną nowością, za sensacją wraz z odrzuceniem tradycji i autorytetu, zasad i prawideł; zlekceważenie zbiorowych doświadczeń, ciągłości dziejowej i wogóle historji, jak to głosi bolszewicka maksyma: „Istorja — eto oszibka; naczniom snaczała“. W życiu państwowem ignoruje się bezwzględnie zasady prawa, zastąpionego przez kult siły i hasło „siła przed prawem“, co zabija u podstawy samo pojęcie wolności i szacunek dla ludzkich przekonań. Niecierpliwa żądza „efektów natychmiastowych“ kojarzy się z żywą niechęcią do powolnych i systematycznych wysiłków, które się wydają pedantyzmem fachowców; w skutku tego wyrasta „kult niekompetencji“ i porzucenie dróg utartych, wypracowanych przez lata zbiorowego doświadczenia. Na to miejsce zjawia się apoteoza enerji [5]), i osobistości energicznych, np. pułkowników. Stąd rodzi się wiara w skuteczność zaskakiwań społeczeństwa przez *faits accomplis*, bez przezierania dalszych konsekwencyj tych ustawicznych improwizacyj. Miast stałych programów, które jedyne mogą kształcić przekonania, wychowując w ten sposób społeczeństwo, rozstrzyga o wszystkiem indywidualna wola; stąd zygzaki życia państwowego, tonącego w niekonsekwencji ciągłych zmian i wiecznych prób. Gdy brak jakiejkolwiek normy objektywnej, trjumfuje subjektywizm na wszelkich szczeblach machiny państwowej; kult szczęśliwego trafu i przypadku podkopuje wysiłek planowy. Słowem następuje chaos moralny i pojęciowy; ba, nawet język traci swą moc obowiązującego konwenansu [6]), zupełnie jak w „Testamencie“ Villona, którego Małgosia

Wszystko umiała przeinaczyć:
Z mąki zrobiła popiół szary,
Na żużel rzekła, że to ziarno,
Na czapkę, że to hełm błyszczący...
Na niebo, że to misa z cyny,
Na obłok, że cielęca skóra,
Na ranek, że to wieczór siny,
Na głąb kapusty, że to góra...
Na stary fuzel, że moszcz młody,
Na świnię, że to młyn powietrzny,
Na powróz, że to włosek z brody,
Na mnicha, że to rycerz grzeczny...
Tak oto moje miłowanie
Odmienne było i zdradliwe...

(Dok. nast.) STANISŁAW CYWIŃSKI

[4]) W zdumiewającej analogji do tego figla Stawrogina pozostają niektóre wystąpienia Boya, do czego zresztą on sam się przyznaje. Ot, *pour épater le bourgeois!*

[5]) Norwid w maju 1871 r. po Komunie tak pisał z Paryża do M. Pawlikowskiego: „Cały ciąg różnorodnych pojawów konspiracyjnych nacechowany bywał jedynem znamieniem talizmanu, to jest: Energja! Za dni Komuny były chwile, w których by nie wybrzmiało dla niczyjego ucha niedorzecznie, gdyby kto ogłosił, że zamianowany został człowiek „energiczny“ dyrektorem Obserwatorjum lub dyrektorem Opery, niemniej, gdyby kto mówił, że „energiczne“ mleko na targu rannym sprzedawano, i nie zadziwionoby się, widząc konduktora machiny parowej w wielkich u pięt ostrogach...“

[6]) Mnie samemu zdarzyło się słyszeć z ust pewnej przełożonej pensji, że znane wywiady głośnej osobistości przypominają... Kazania Skargi!

ATMOSFERA WARSZAWSKA

PRZED 90 LATY

1

NAS DZISIEJSZYCH kosztuje pewnego wysiłku przenoszenie się wyobraźnią w warszawskie czasy Norwida. Stosunki tak się przeobraziły, że historyk literatury użyć musi w wykładzie dydaktycznym całego aparatu pomocniczej wiedzy historycznej, aby na dzisiejszej Warszawie wypunktować drogi, którędy chadzała literatura i jak się miewała. Stosunki się rozrosły w kierunku uspołecznienia i upolitycznienia życia, a wskutek tego podniesienia się poziomu życia publicznego, literatura cofnąć się musiała do swych drobnych łożysk specjalnych, do dawnej swojej roli, jaką spełniała w dawnej Polsce niepodległej. W czasach Norwida w Warszawie miano złudzenie, że literatura wszystko zastąpi, co się utraciło, że jest Wisłą twórczości polskiej, a wszystko inne jest tylko ruczajem, przyczyniającym dopływy.

Wrażenie takie pochodziło stąd, że życie polskie skameralizowało się wskutek utraty resztek państwowości i samorządności, a literatura i sztuka daje się najlepiej dostosować do życia zamkniętego w ramach towarzyskich, jako kameralny ekwi-

walent wolnego życia publicznego. Energja duchowa inteligencji warszawskiej, którą stać było niedawno na wybuchy wojenne, zadowalać się teraz musiała życiem towarzyskiem w prywatnych domach, dokładnie strzeżonych przez władze rosyjskie. Salony w domach zamożniejszych i bardziej ambitnych stały się instytucjami. Literatura zaś stylizowała te przybytki na kształt kaplic życia duchowego.

Wspomniałem już dawniej,[1]) jak ubogie były warunki i zasoby życia umysłowego, łatwo więc przedstawić sobie, że wymagania i kryterja rozkoszy artystycznych nie były zbyt wybredne i że w wielką szły cenę młodociane talenty.

Charakterystyczną cechą społeczną środowiska oświeconego, wegetującego w warunkach niewoli, jest to, że górę w niem biorą kobiety. Wspomniałem już o tem, że w tych sferach zmienił się na korzyść kobiet ich stosunek liczebny. Przerzedzone szeregi trzeba było zapełniać dorastającą młodzieżą, ale z natury rzeczy, gdy życie przenosi się do saloników, ster jego musi przechodzić w ręce kobiet. Ten stan trwał w Warszawie do końca wieku XIX, żyją więc ludzie, którzy mu się przypatrywali. Jeszcze w latach ośmdziesiątych oznaką dobrego ułożenia młodzieńca warszawskiego było t. zw. „bawidamstwo“. Obowiązany był umieć dwie rzeczy: tańczyć i bawić damy literaturą. Warszawiacy byli słynni pod tym względem na całą Polskę. Mieszkania warszawskie, nawet małe, obliczone były na duży salonik i drobne przyległości. Ów salonik — to była uprywatniona „arena publiczna“. W czasach Norwida zebrania towarzyskie traktowane były z całą obrzędowością, świadomą tego, że salon spełnia rolę zastępczą instytucji publicznej.

Młodzież, wzięta w kluby przez celebrujące w salonach damy, zwierzchnictwo to, mające w sobie wiele uroku, naogół przyjęła jako miłą darowiznę losu. Bardziej męskie temperamenty buntowały się przeciwko tresurze salonowej; nazywano ich z tego powodu, jako koczujących, cyganami. Były to zapamiętane przez historję wyjątki; ogół przesiąkał pierwiastkiem żeńskim nie tylko w obyczaju towarzyskim, ale i w literaturze. Warszawa oświecona XIX w. przypomina nieco typ stosunków matrjarchalnych za cywilizacji egejskiej w czasach przedhomerycznych, znany z tradycyj Arystofanesowi. Uprzytomnijmy sobie taką postać Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej), żyjącą jeszcze w legendzie Warszawy. W jej osobie mamy najbardziej typowy, do symbolu posunięty, wyraz czasów owych. Kilkadziesiąt lat literacka Warszawa zostawała pod jej autokratycznemi rządami. Ona była prawodawczynią dobrego smaku literackiego i bezwzględną władczynią salonu, pomyślanego jako obrzęd i ceremonjał. Trudno dzisiaj znaleźć wiarę, gdy się opowiada o tem, że pod grozą banicji towarzyskiej nie wolno było mężczyźnie pokazać się w jej domu bez fraka i białego krawata.

Nie tylko dla dekoracji historycznej wyciągam te tradycje. Deotyma odziedziczyła swój salon po matce, Ninie Łuszczewskiej, w którym debiutował i święcił chwałę poety — Cyprjan Norwid. Jeden z najpierwszych utworów swoich z r. 1841 miał prawo zadedykować w druku: „Dla Niny“.[2])

[1]) Por. artykuły moje o Norwidzie w poprzednim roczniku, str. 707, 722, 769.

[2]) Wspomnienie, „Pismiennictwo krajowe“ H. Skimborowicza, 1841, s. 222 (spis rzeczy).

Norwid był wychowańcem salonów warszawskich. To była jego szkoła właściwa. Tak często spotykany w historji owych czasów podział sfer literackich na entuzjastki i cyganarję uważać trzeba za nazbyt mechaniczny. Na dobrą sprawę wszyscy byli entuzjastami i cyganami. Cyganami dlatego, że miano salony, ale Dom życia był zburzony. Koczowano po bezgranicznych dziedzinach ducha lub rzempolono przy ognisku do tańca. Wszyscy byli entuzjastami, bo podbijali się w wyżyny za ideami, aby nadbudować jakieś życie nad próżnią, oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy: z samego popędu egzaltacyjnego. Nie mogąc zadań, stawiano sobie zagadnienia, a rytm towarzyski zamieniał obcowanie w zabawę. Bawiono się, a jednak była w tem męka, bo przecież duchy tragicznie się zrywały z cugli towarzyskich i ginęły z całą pogardą dla życia na miejscu, lub gdy niepokój gnał je w światy, błąkały się w nich i spadały gdzieś w ziemię obcą, jak aerolity.

2

Znakiem cyganerji była nie tyle knajpa, ile niespokojny ruch ludzi, którzy się duszą bez powietrza. „W ówczesnej Polsce“ — pisał Wiktor Gomulicki — „poetom, na miejscu piszącym, brakło poprostu — oddechu. Talent był wówczas klątwą losu, natchnienie przygniatającym ciężarem; skrzydła — przedmiotem szyderstw i zawadą w chodzeniu. Duch, zewsząd przygniatany (więc i przez salony!), szamocący się w próżni, walczący bez nadziei zwycięstwa, a w końcu bez wiary w nie nawet, musiał zdobyć się na jakikolwiek protest. Tym protestem była właśnie cyganerja warszawska“.[3])

Gomulicki opowiada o jednym z najmłodszych cyganów, Sewerynie Fillebornie, dobrze zapowiadającym się poecie, że kiedy lekarze radzili mu pobyt w lesie, aby ratował zagrożone płuca, urządził sobie lasek w swoim pokoju (na Miodowej w domu Grabowskich). Wysypawszy podłogę piaskiem, powtykał jodełki i spacerował między niemi. W rogu zamiast łóżka miał pościółkę z mchu i liści. Zapach jednak „lasu“ zagłuszony był wonią okowity, która zawsze stała przy łóżku. Była to pogarda życia. Wszyscy pili, pił i Norwid (i to mu zostało na całe życie jako nałóg), choć to był cygan towarzysko obłaskawiony.

Świat się zaczynał i kończył w Warszawie. Ale poeci mieli poczucie, że to klatka, a niepokój w duszy niedobrze wróżył ich przyszłości.[4]) Skąd ten niepokój pochodził?

To, co nazywaliśmy „niewolą“, nie zawsze zdając sobie sprawę z tego wyrazu, powstaje wtedy, gdy człowiekowi odjęta jest możność dowolnego szukania dla siebie miejsca w budowie społecznej w celu rozwinięcia pełni swoich sił. Mogę z tego prawa swego instynktu nie korzystać, mogę nie zdołać pełni swej wyzyskać, ale chodzi o poczucie, że w moim ręku leży mój los. Niewola polityczna jest dla jednostki niewolą moralną, tem cięższą,

[3]) „Cyganerja Warszawska“ w „Gońcu Porannym“ z dn. 25 czerwca 1905 r. (dodatek literacki).

[4]) Edward Dembowski, który ich tak organizował i zachęcał do twórczości, padł już w 1846 r. na Podgórzu, zastrzelony podczas demonstracji, cygan Dziekoński zmarł w Paryżu 1855, Henryk Kamieński — w Algierze 1865, Roman Zmorski — w Dreźnie 1867, Włodzimierz Wolski—w Brukseli 1882, Lenartowicz — we Florencji 1893, Węgierska—w Paryżu 1869. Z poza Warszawy, z tych, co tamtym świecili jako luminarze: Kraszewski—w San Remo 1887, Korzeniowski—w Dreźnie 1863. A więc i Cyprjan Norwid—w Paryżu 1883.

im wyżej jednostka kwalifikowana do szczytów społecznych. „Zjadacze chleba“, nie mający tęsknot do wyższych regjonów życia duchowego w społeczeństwie, niewoli nie odczuwają, owszem niewola przedstawia wiele ponęt i tem się różni od więzienia fizycznego. Ludzie, dla których obowiązek społeczny jest ciężarem, ludzie słabych skrzydeł, pozbawieni wyraźnych instynków społecznych, a więc tęsknot twórczych w kierunku budowania cywilizacji narodowej na wyższych kondygnacjach, ludzie ci czują się dobrze w niewoli. Dlatego tak trudno poruszyć ogół do walki o wolność, a zwłaszcza do walki przewidującej, takiej, w której chodzi nie o wyładowanie niecierpliwości bez względu na rezultat, lecz własnie o sam rezultat, aby warsztat twórczy na trwałe odzyskać. Pragnienie wolności według utartej opinji, ma w sobie coś irracjonalnego, a todla tego właśnie, że rozsądek zjadaczy chleba, tak przeważający w społeczeństwach o niżkiej kulturze społecznej, znajduje w niewoli wiele rzeczy dla siebie dogodnych, a więc racjonalnych. Żeby pojąć racjonalność wolności politycznej trzeba wielkiego wypracowania uświadomień społecznych, trzeba umysł wzbić wyżej: na ten poziom, do którego docierają wzloty wyobraźni poetyckiej na skrzydłach uczuć. Tam, gdzie poeci tylko przeczuwali wielką prawdę społeczną wolności, rozum musi wykonywać racjonalne, żywotne i praktyczne wiązania stałej pracy, aby do nich dźwigać planowo społeczeństwo, realizować wolność.

Dla zjadaczy chleba (że dla skrócenia tego terminu użyję) są to regjony niedościgłe. W takiem ognisku rozbitem, jak Warszawa ówczesna, gdzie ludzie spłoszeni niespodzianem dla nich wybuchem żywiołu wolności, tem bardziej stać się musieli dumni ze swego „racjonalnego“ stanowiska przyziemnego, dla duchów szarpanych instynktem wolności duszno było i — tragicznie. Dlatego tragicznie, że byli ludźmi, dziećmi „zjadaczy chleba“, którym też nieobce były ponęty niewoli. Czyż ostatecznie źle było w Warszawie, jeśli chodzi o użycie? Czy salony nie były miłe, jako arena igrzysk popisowych? Czy nie słodka niewola u kobiet? Na rękach noszeni, pieszczeni, w laurze na codzień, kochając się i pijąc mogli się dobrze czuć w Warszawie. Ale właśnie to wpędzało ich nieokreślone pragnienia i tęsknoty w ciągły konflikt z klatką. Ten „pierwiastek irracjonalny“ rozsadzał ich; poruszony konfliktem rzeczonym instynkt we wrażliwych duchowo jednostkach czuł, że trzeba czegoś dokonywać w wyższych regjonach, brać jakiś rekord w locie wzwyż, przeczuwał wielką pracę, która czeka ducha twórczego, mającego wolność odbudować.

Jak trudno było jakikolwiek lot wgórę przedsiębrać, gdy ponęty niewoli trzymały przy ziemi i każde poderwanie się udaremniały, mamy dowód na poezji emigracyjnej. Tam na obczyźnie w nieskończenie gorszych warunkach prywatnych i towarzyskich dokonywały się polskie rekordy. Tutaj w kraju nikt nawet w rękopisie nie zanotował takich wyżyn. O czynach poetyckich emigracji wiedziano to i owo w Warszawie; to dawało odczuwać, że się jest w klatce. Tem się tłumaczą postanowienia emigracji dobrowolnej wśród poetów. Nasi wielcy poeci musieli emigrować, choćby nie zdawali sobie jasno sprawy z powodów i celów. Zrobi to wkrótce i Norwid.

Można się patrzeć na tę dobę romantyzmu polskiego, jak na pracę ptaków w powietrzu, które znoszą materjał na przyszłą budowę myśli polskiej. Oni pokazywali szlaki filozofji, na którą już wówczas nadeszła pora. Wówczas w Warszawie szukano uzasadnień na to, co ciągnęło poetów w górę za instynktem. Był to krok naprzód ku idei pracy, mającej na celu właśnie wolność. W salonach warszawskich zajmowano się zarówno poezją, jak i filozofją ze snobizmu i z egzaltacji. Skubano pierze, gdy poetom i filozofom marzyły się skrzydła. Myśl szła już w tym duchu, o czem wyżej mówiłem, że nie wybuch, lecz praca. Instynktom rasowym Mazurów przypadło to do smaku. Ideę Fichtego i Hegla przerabiały umysły przodujące po swojemu; w salonach to wałkowano, spierano się, egzaltowano...

3

Myśl pracowała już nad tem, jak stworzyć wolne społeczeństwo. Typowym wyrazem tego ruchu umysłowego był Henryk Kamieński. Jego socjologja wychodziła z założenia, że więź społeczna między ludźmi wytwarza się z czynu. „Samo tworzenie czynu jest tworzeniem jedności pomiędzy ludźmi“. Wyższą formą życia jest społeczność, ten organizm, wytworzony przez czynność i czyny nowe wywołujący. Społeczeństwo jest dziełem twórczości.[5]) Społeczeństwo jest warunkiem twórczości, niema więc życia duchowego przedspołecznego. Czyn to jest obcowanie ludzi, obcowanie to czyn. Społeczeństwo jest treścią ludzkiego życia, jest zarazem dziełem koniecznem ludzkiej twórczości, „bezpośrednią wynikłością absolutu“. Życie rządzone jest prawem koniecznego postępu, a stąd przedstawia nieustanny ruch. „Pojmowanie więc społeczeństwa nie zasadza się na pojmowaniu chwilowych jego kształtów, lecz na ujęciu jego istoty postępowo ruchowej...“

Jak widzimy rodziły się ziarna wspaniałej wyobraźni w kierunku twórczości społecznej. Zrozumiał życie, kto je pojął jako ruch wzajemny, kołowy między duszą jednostki a wytwarzaną cywilizacją. Na tle tego ogólnego pojęcia, warszawiacy, Kamieński i Dembowski Edward budują system ideologiczny pracy, która ma cel sama w sobie, jest zasadą twórczości, jest to mus pracy w górę w punkty największego oporu, pęd idealistyczny tworzenia. W kim raz ten głos powołania się odezwie, ten — powiada Kamieński — „dla żadnych materjalnych ponęt drogi swojej nie zaniecha, a przyjmie raczej życie nędzy i poświęceń, byle cel swój mógł spełnić, byle twórczość rozwinąć i dokonać powołania. Milton, Galileusz, Tasso nie byliby zamienili swojego losu, kołatanego cierpieniami, za najświetniejszy czysto ziemski żywot“.[6])

Przytaczam tę próbkę, aby wprowadzić na szlak główny myśli, która się rodziła w nawiązaniu do górnej linji poetyckich przeczuć romantyzmu. Myśl ta rozlewała się na różny użytek: filozoficzny, poetycki, społeczny i polityczny. Wszystkie drogi i dziedziny pojmowano jako twórczość. Płynął więc z tego założenia i radykalizm socjalny (Kamieńskiego i Dembowskiego) i estetyzm Norwida, idącego za Dembowskiego teorją sztuki jako korony tworzenia ze swoją własną świadomością odrębną w umie — w odróżnieniu od rozumu. Ale gdzie można było z powodu lżejszej cenzury pisać

---

[5]) „Filozofja ekonomji materjalnej ludzkiego społeczeństwa“ (1843).

[6]) Tamże.

swoboduiej, jak wówczas w Poznaniu, tam dochodzono, za tą inspiracją Hegla, do bardzo poprawnych konstrukcyj systemu politycznego. Zaliczam do nich wspaniale na ten czas pomyślaną teorję Narodu, jako organicznej istności cywilizacyjnej, ogłoszoną w poznańskim „Roku“ za r. 1843 z podpisem R. (Rymarkiewicza).

W Warszawie nie można było tak jasno wypisać wszystkiego. Od tego był Poznań. To też w tym samym „Roku“ zaczęły się już ukazywać artykuły Dembowskiego (z podpisem D.). W Warszawie gadano po salonach na te tematy między tańcami, herbatą i muzyką. Gadano we frakach, gadano do kobiet egzaltowanych, a przecież nie każda była Żmichowską, Ziemięcką, nawet Wilkońską, nawet Łuszczewską. Świat za kordonem, gdy tu było tak duszno, wydawał się naszym filozofom jako przestwór żyjący ideami wcielonemi. Tutaj delektowano się niemi i tęskniono za wielkim światem.

Edward Dembowski należał do umysłów, które chciały widzieć możność wcielania idej na miejscu, w kraju—bądź w pracy z ludem, bądź w drodze rewolucji. Konspirował nad tą ewentualnością wraz z H. Kamieńskim w tajnym związku Świętokrzyżców (od r. 1839 do jesieni r. 1843, kiedy musieli obaj się schronić do Poznania). Idee swoje wykładali w Warszawie w „Przeglądzie Naukowym“ (wydawanym przez Dembowskiego) i ustnie na zebraniach z entuzjastkami, gdzie uczestniczką najważniejszą była Żmichowska. O czemże tam mogła być rozmowa z takim Kamieńskim, który w „Przeglądzie“ pisał rozprawy pod tytułem: „Twórczość jako Lyt“, „Tworzę, więc jestem“. To wszystko było wprzód przedyskutowane w salonie, to wszystko było szkołą Norwida. Dembowski pragnął wskazać twórcom pole działania w kraju, nawoływał do pracy wśród ludu. W rozprawie p. t. „Twórczość jako żywioł samorodnej, naszej polskiej filozofji“[7]), zacierając ślady Hegla i Schellinga, uczył, że myśli szukać należy w sercu ludu swojego. „Biada krajowi i ludowi, który szukając prawdy na drodze myśli, nie stara się o samorodność“. „Jeśli chcemy działać w dziedzinie myśli, winniśmy co jest żywiołem samorodności krajowej poznać. Myśl ludu w sercu ludu drzymie—tam jej szukać należy“. Przypomina to rozprawę Mickiewicza: Gdzie szukać ducha narodu? — i pytanie i odpowiedź. To, czego uczył Kamieński, że czyn (postępowanie) jest wynikiem konieczności absolutnej, Dembowski modyfikuje w ten sposób, że nasza myśl twórcza (subjektywna) polegać winna na łączeniu w „strojną jedność postępowań—podmiotowego z przedmiotowem“. Za przedmiotowy uważa kapitał pracy wieków w kulturze ludu. „Istota narodu jest zawsze cnotą, jest prawdą“. Co istotę narodu stanowi? Twórczość. I tu rozkłada istotę na cechy rodzimości takie, jak „dziarskość“, która jest tem w życiu, co w myśleniu twórczość.

Któryż lud ma dziarskość równą naszemu? Któryż ma słowo to samo wyrażające? Czyż nie nasz taniec narodowy — mazur? „Nie sądzimy“ — mówił Dembowski — „aby dziarskość była wyzuciem się ze smętnego uczucia, jest to uczucie swojej wyższości, swojej najwyższej mocy ducha“...

[7]) „Pszegląd Naukowy“, 1843, I, 309.

Oto w krótkości nawiązanie sztuki z pracą i z twórczością narodu.

Zaraz po przybyciu do Poznania Dembowski ogłosił w „Tygodniku Literackim“ przywiezione z Warszawy pomysły do wiedzy umnictwa,[8]) a tam pisał:

„Niczem innem jest natchnienie prawdziwe, jak miłością wrzącą ku ludowi i ludzkości“. Przybywa więc, jako uzupełnienie czynu, działania, ruchu i dziarskości w motywie psychicznem — miłość. Wszystkie te motywy znajdziemy potem u Norwida, który pilnie czytał Dembowskiego.

„Umnictwo“ — pouczał Dembowski — „rozwija dziarskość charakteru, albowiem będąc apoteozą miłości ludu i ludzkości, rodzi pragnienie poświęcenia się dla wolności, dla cnoty, dla ludzi i prawdy“. „Każdy naród musi mieć swoje umnictwo. Narodową jest każda poezja, każde umnictwo, tchnące lub odbijające miłość ludu... Lud a naród jest jedno. Miłość ludu jest narodowością. Jeśli chcę być prawdziwym wieszczem, muszę być i wieszczem narodowym. Miłość, jako czyn, jest istotą żywota społecznego... Wolność jest twórczością, twórczość jest wolnością. Lud, aby był twórczym, musi być samodzielnym“.

Pieśń Bogumiła w „Promethidjonie“ o roli sztuki[9]) w społeczeństwie i ludzkości, o pięknie jako kształcie miłości, o pieśni, którą Pan Bóg narody zapala, o przeznaczeniu sztuki, aby „zachwycała“ [10]) do pracy, a pracy—by się zmartwychwstawało i t. d., to wszystko, co w poezji Norwida było najbardziej wartościowego, bo ożywionego wzruszeniem, Norwid zawdzięczał atmosferze warszawskiej, którą oddychał w młodości. Przybyło potem wiele erudycji i mądrości życiowej, ale do najlepszych utworów jego należą te rzadkie, w którycb się wzruszał uczuciowo. Wspomnienia pierwszej miłości i pierwszych olśnień umysłowych są dla poetów krynicą zawsze odnawiających się uczuć. Z tkliwością wspominać też będzie w r. 1850 [11]) życie towarzyskie Warszawy z owemi herbatami w kole entuzjastów w eleganckim salonie:

„*Non è maggior dolore*, jak wrócić wspomnieniem
Do pewnych herbat, tudzież ciast i konwersacyj,
Prawdziwie wielkiem dobrze zaprawnych natchnieniem“.

Istotnie owe konwersacje warszawskie szczupłej elity były zaprawne natchnieniem. Jak widzieliśmy z przytoczonych tez, kiełkowały tam zwroty całkiem nowożytnych pojęć o społeczeństwie i cywilizacji. W tych najgorszych warunkach dawne nastroje romantyczne ducha przybierały postać myśli, zdążającej do wcielania. Rej w tych tendencjach wiedli już nie poeci sami, tracący nadzieję i wpadający w werteryzm, lecz filozofowie, akcentujący po mazursku idee Fichtego, Hegla i Schellinga, gdy chodziło o działanie i pracę, i naginający je po polsku do potrzeb przyszłej myśli polskiej. Gdy wszystko ginęło, entuzjaści powtarzali: myślę, więc jestem, nawet: tworzę, więc jestem.

Oni zwiastowali przyszły okres — pracy organicznej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[8]) „Tygodnik Literacki“, 1843, str. 54.

[9]) Tamże, str. 199.

[10]) „Zachwycać“ Norwid używa w tem znaczeniu, co Lenartowicz w swojem „Zachwyceniu“, myśląc o tajemnicy letargu.

[11]) Pisma I, w przypisach Z. Przesmyckiego, s. 739.

OMAR CHAYYAM: RUBAYIAT

W „Lamusa“ roczniku trzecim (1911/12) ogłoszono pierwszy polski, obszerniejszy od słynnego angielskiego tłomaczenia Fitzgeralda, przekład Rubayiatu, dokonany przez ś. p. Marylę Wolską i Michała Pawlikowskiego. Podajemy obecnie dalszy ciąg tego przekładu, przysłany nam z Medyki.

I

Czy też wy boże mułły aby o tem wiecie,
Czemu cyprys i lilia mir mają na świecie?
Bo ten, choć ma sto rąk, wżdy żadna nie za długa,
Ta, ma języków dziesięć, a nie gada przecie.

II

Wyłania się z oddali jakiś stwór plugawy:
Baba ni chłop, — czuć odeń swąd djabelskiej strawy.
Podejdzie, stłucze dzban, a wino porozlewa...
Potem głosi, że spełnił czyn czcigodnej sławy.

III

Czy wiesz dlaczego kur co rano pieje?
Aby przypomnieć ci, że znowu dnieje,
Że znowu mija dzień, a tyś wciąż głupi,
Jaki byłeś — i niemasz zmądrzenia nadzieje.

IV

Niech cię zdumione słowo me pozdrowi
Podobna duszy mej cichemu snowi!
Bierz dzban na żywy Bóg! Do dna go wypij,
Niech mnie twe słodkie „Ty“ do cna znarowi!

V

Jeszcze nie wrócił nikt z tych ciemnych dróg
Z jakowąś wieścią przed rodzony próg.
Czyń, co masz czynić! O tem ani śnij,
Byś na ten popas kiedy wrócić mógł.

VI

Na wielkich polach szachownicy świata
Pionyśmy tylko, któremi przez lata
Dola się bawi, a kiedy ma dosyć,
Po latach z deski do pudła nas zmiata.

VII

O gdyby końce dróg nam naznaczono,
Gdzieś, gdzieby głowę złożyć umęczoną,
By nas po stu tysiącach lat pokoju
Kiedyś znów stworzył Bóg, jak ruń zieloną!

VIII

Mroczne niebios otchłanie przebrnąłem za żywa,
Pod Saturnem się gnieździ myśl ma wiedzy chciwa.
Rozplątałem niejeden węzeł, lecz nie mogę
Tego, którym los sprawy ludzkie omotywa.

IX

Czem, zaiste, to życie trzyma śmiertelnika?
Ledwie dać nam co zdąży, — już znowu umyka.
O, gdyby niezrodzeni wiedzieli jak mało
Z życia bierzem — wnet żyćby brakło ochotnika.

X

Choćbyś tu żył lat trzysta — i jeszcze nad to wzwyż,
Musiałbyś w końcu ruszać z popasu precz! — wszak wiesz.
W ostatniej życia dobie na jedno wyjdzie wszem,
Czy królem się kto rodził, czy biedny był jak mysz.

XI

Złym psom się równa ludzka czcza gromada.
Spokój wciąż mąci, źre się i ujada.
Jak lis się czołga i jak zając śpi —
Jak wilk znienacka do gardła przypada.

XII

Moc zacnej krwi wytoczył świata wóz.
Kwiat mnogi mrze, gdy w śnie go zwarzy mróz.
O, nie licz ty na młody wdzięk twych lic,
Wiatr pąki rwie nim krzew kielichy wzniósł.

XIII

Nim się wszystek trud życia spiętrzy nad twą głową,
Krzep się czary szumiącej treścią rubinową!
Nie jesteś przecie złotem, co je w ziemię kładą,
By je ktoś tam po latach wykopał na nowo.

XIV

Tysiąc pułapek na drogę-ś nam kładł,
Mówiąc: „Przeklęty każdy, ktoby wpadł!“
Więc za twą wolą grzeszyliśmy chyba —
Boć wola Twoja cały dzierży świat.

XV

Od zaufania w sobie broń mnie Ty!
Przedemną samym racz mnie bronić Ty!
Tylko gdym trzeźwy, dobro znam i zło,
Więc zło i dobro daj mi zapić Ty!

XVI

Na krzak róży w ogrodzie wzrok mój dzisiaj padł.
„Jam jest Józef z Egiptu!“ odezwie się kwiat.
„Z czegoż poznam, — zagadnę — że prawda coś rzekł?“
A krzew na to odpowie? „Z moich krwawych szat“.

XVII

Gdybyś żyw mógł rozwiązać zagadkę żywota.
W śmierci nawet swojego nie puściłbyś płota.
Czegoś żywy nie pojął — jakoż chcesz byś wtedy
Pojąć zdołał, gdy wieczna zdejmie cię drzymota?

XVIII

Z wszystkich ludzi na ziemi poznanych rozłogu:
Dwum znał tylko szczęśliwych wedle dusz wymogu:
Jeden życia tajemnic chciwie badał głębie.
Drugi tyle z nich wiedział co tabaka w rogu.

XIX

Otwórz mi wrota, — otworzyć możesz tylko Ty!
Pokaż mi drogę. Wszak wodzem jesteś tylko Ty.—
W niczyją inną dłoń mej dłoni złożyć nie chcę.
Zawodne wszystkie, a wiecznym jesteś tylko Ty!

XX

Wiosny po wiosnach, jesienie po jesieniach miną.
Jeden po drugim z żywota krzewu liście giną.
O pijże druhu, bo pono już mawiali mędrcy:
Żałość trucizna, — odtrutką zawsze było wino.—

XXI

Wolen ziemskiego kształtu, słabości i sił
Kiedyś znów duch twój w planet się zanurzy pył,
I wniknie w niebo jasny i czysty, — a wtedy.
Hańba i wstyd, żeś drzewiej na tym świecie żył!

XXII

Siedzisz w kuchni i łykasz wciąż kuchenny swąd.
Jakże długo nad niczem mózg twój będzie wiądł?
Stratnym jest ten, kto duszą się zaprzedał światu.
Chcesz li zysku: Co prędzej się zabieraj stąd.—

Skole 1911. Przekładali

MARYLA WOLSKA i MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

P. Skiwski w „Wiadomościach Literackich" rozważa kwestję stosunku nacjonalizmu do religji.—Nieco o „rozwrzeszczanych" żydach „o krętych rudych włosach" — Zakrystjanin Palica czy p. Grycendler?...

PAN JAN Emil Skiwski ma w środowisku „Wiadomości Literackich" pozycję wyjątkową: jest chrześcijaninem. Jest katolikiem z dziada pradziada. Łatwo wyobrazić sobie, że do niego właśnie koledzy, współpracujący z nim w owem wydawnictwie, muszą, raz po raz, zwracać się, jak do eksperta, po informacje o tym tak egzotycznym dla nich, katolickim świecie: „Panie Emilu, jak nazywa się to nabożeństwo w niedzielę, popołudniu?", „Panie Emilu, jak to tam jest naprawdę z temi rozwodami?", „Panie Emilu, czy u katolików rzeczywiście nigdy nie było zwyczaju maglowania nieboszczyków?"...

Jasne jest, iż we wszystkiem, co dotyczy katolicyzmu, p. Skiwski w światku „Wiadomości Literackich" uchodzić musi za powagę, nieomal za wyrocznię. Tak los zdarzył, iż jemu też przypadła trudna i odpowiedzialna rola „pokrzepienia serc" czytelników tego czasopisma przez pouczenie ich o nie dającej się jakoby pogodzić sprzeczności między kierunkiem polskiej myśli narodowej a stanowiskiem katolickiem [1])...

*

Nie zamierzam polemizować z wywodami p. Skiwskiego na temat stosunku nacjonalizmu do religji, aczkolwiek niejeden punkt z jego rozważań nadawałby się do gruntownego i szczegółowego omówienia. Nie wydaje mi się rzeczą odpowiednią, żeby Polak z Polakiem, katolik z katolikiem za pośrednictwem „Wiadomości Literackich" porozumiewali się w sprawach swojej religji i swojego narodu. Czy to tylko jest kwestja smaku, czy jakiegoś głębszego instynktu, w każdym razie nie odczuwam bynajmniej chęci, by wdawać się w rozprawy, uzasadniać pogląd swój czy obozu swego na stosunek idei narodowej do katolicyzmu, dyskutując o tych materjach z artykułem, drukowanym na podstawie *„nihil obstat"* p. Grycendlera...

Może przy innej sposobności zdarzy mi się poruszyć te zagadnienia z p. Skiwskim, którego talent cenię, z którym niejednokrotnie łączy mię wspólność gustów literackich i poglądów na rozmaite sprawy.

*

Jest wszakże w artykule p. Skiwskiego fragment jeden, o którym pomówić należy, wypowiada w nim bowiem tezy, które w ostatnich czasach propaganda żydowska w widoczny sposób usiłuje narzucić, albo przynajmniej podsunąć niektórym odłamom opinji polskiej i katolickiej. Warto zwrócić uwagę na książkę, niezbyt dawno wydaną, p. Gabrjela Jehudy Ben Ezra, p.t. „Chrześcijańskiego Żyda wspomnienia — łzy i myśli", wyłącznie szerzeniu idej powyższych poświęconą. Nietyle więc z p. Skiwskiem osobiście, ile raczej z czołowym publicystą „Wiadomości Literackich" podyskutować wypada, skoro poglądy owe znajdują wyraz także na łamach tego tygodnika, a że sprawa dotyczy właśnie żydów, polemika jest tym razem zupełnie na miejscu.

Publicysta „Wiadomości Literackich" pisze mianowicie:

„Na naszym gruncie rozłam pomiędzy nacjonalizmem i katolicyzmem szczególnie jest ostry z jednego jeszcze względu: stosunku nacjonalizmu do Żydów.
Ten krańcowy i bezwzględny... antysemityzm, który wyznają nasi nacjonaliści, harmonizuje wcale nieźle z prymitywnemi pojęciami ludu o katolicyzmie, wedle których Betleem jest polskiem miasteczkiem — ale w żaden sposób nie da się pogodzić z katolicyzmem świadomym swych celów..." itd.

A o kilkanaście wierszy dalej woła z radością odkrywcy:

„...czy nie dość przeczytać kilka rozdziałów z Ewangelji, aby wyczuć aurę żydowską tej księgi? O cytaty nie byłoby trudno. Dzieci, które Chrystus do siebie przygarniał, to były jednak rozwrzeszczane żydowskie bachory o krętych, rudych włosach — na to niema rady. Cóż za pyszny temat do fejletonu dla Nowaczyńskiego!".

Cóż to za nowe, przez nikogo nie podejrzewane fakty ogłaszają tutaj „Wiadomości Literackie"! Jakaż to sensacyjna doprawdy rewelacja, że Chrystus żył i nauczał w Palestynie! I jak to śmiałe odkrycie historyczne o „rozwrzeszczanych bachorach" kieruje myśl i wyobraźnię na tory, na które bez tak cennej podniety nigdyby się prawdopodobnie nie zwróciły. Wszak tłum, który, pijany nienawiścią do Prawdy i Dobra, wrzeszczał: „ukrzyżuj! krew Jego na nas i na syny nasze"! — to były jednak zapienione żydy o krętych, rudych włosach, na to niema rady.. Wszak to był tłum żydowski, lud żydowski, który pluł na upadającego pod Krzyżem, wszak to była elita żydowska, owi kapłani, którzy szli z fałszywem oskarżeniem do Piłata...

Teraz właśnie, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia obchodzi Kościół pamiątkę śmierci pierwszego męczennika, Szczepana. „Żydowską aurę" tej sceny historycznej odczuwa się, jakby to było wczoraj: oto gromada żydowska, nieprzytomna z wściekłości, ciska kamienie, młodziutki djakon już ranny śmiertelnie, już pada, ale tłuszcza kamienuje go dalej, bezlitośnie, tłuszcza bez odrobiny ludzkich uczuć, rozgorączkowana, rozżarta... Cóż za pyszny temat do fejletonu na łamach... „Wiadomości Literackich"...

Jest w „Moim Świecie" Kasprowicza wzruszający wiersz o „zakrystjaninie Palicy", zastanawiającym się, czemu to „na ziemskie swe życie" Zbawiciel świata „nie rodził się u nas", ale właśnie wybrał dla dzieła Odkupienia daleką, żydowską Palestynę:

„Stajenek u nas jest dosyć,
A znalazłby się i żłobek
Klękałby i wół, i osioł,
I gazda, i wszelki parobek.
Hej, kolęda! Kolęda!"

Boć właściwie pod jednym tylko względem — kalkuluje Palica — wśród ludu polskiego nie mogłoby powtórzyć się to, co było w ziemi żydowskiej:

„...wiadomo ci dobrze,
Jaka ta ziemia jest nasza,
Niema w niej knowań zdradzieckich,
Niema żadnego Judasza" [2]).

---

[1]) J. E. Skiwski: „Paradoksy trzeźwości": „Wiad. Liter.", nr. 52 z grudnia r. ub.

[2]) Tak zdarzyło się, iż niemal równocześnie z pojawieniem się tego wiersza Kasprowicza, czytałem w *„Chansons"* Th. Botrel'a kolendę bretońską, o tym samym zupełnie motywie treści i z tą samą konkluzją: *„On ne trouverait pas un traître chez nous"*. Jakże charakterystyczna jest ta wspólna postawa duchowa ludów europejskich, i to wspólne ich przeciwstawienie się — narodowi, który wydał Judasza.

Publicysta „Wiadomości Literackich“ lekceważąco oczywiście potraktuje myśl biednego zakrystjanina, litując się nad „prymitywnemi pojęciami ludu“. Sądzę jednak, że w tem lekceważeniu właśnie jest wyraźny wpływ „aury żydowskiej“ gdzie religja — to wyłącznie mądrość rabiniczna, „uczoność w piśmie“, „aury“ obcej zupełnie pojęciom chrześcijanina, znającego tajemnicę o Prawdzie, która bywa objawiona maluczkim. Stąd przecież wszystkie wielkie systematy filozofji katolickiej rodziły się z ducha pokory. W każdym razie, nie wątpię ani na chwilę, że lepiej uczyć się katolicyzmu od zakrystjanina Palicy, aniżeli z „Wiadomości Literackich“. Jest czas świąteczny, w kościołach śpiewają kolendy, właśnie te „prymitywne“, ludowe w których — wiadomo — „Betleem jest polskiem miasteczkiem“.. „I my pośpieszajmy, chwałę Panu dajmy...“ A p. Skiwski niech tam sobie dalej dyskutuje o religji w zakładzie p. Grycendlera...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WIĘKSZOŚĆ POLAKÓW, myśląc o nowym roku politycznym, który zaczynamy z 1-szym stycznia, poprostu doznaje wrażenia... Zaraz. Czy doznaje jakiegokolwiek wrażenia? Czy nie ma wrażenia pustki, zatrzymania się wszelkiej twórczości, długiego trwania jakiegś prowizorjum, za które społeczeństwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności? Niewątpliwie takie mniejwięcej nastroje budzi tej chwili w społeczeństwie świadomość, że wstępujemy w nieznany, nowy rok dziejów. W większości umysłów osadziło się poczucie, że zaczyna się poprostu nowy rok... długotrwałego sezonu ogórkowego w polityce polskiej, który wypada liczyć nie na miesiące, lecz na lata. Zrobiwszy to spostrzeżenie, obywatel (przeważnie) stwierdzi, że nowy rok sezonu wita z jeszcze mniejszem zainteresowaniem, niż lata poprzednie. Jeszcze więcej odczuwa przedział między czynnikiem społecznym, a grupą rządzącą. Uwagę powszechną zajął kryzys gospodarczy. Obywatel, poważnie myślący o rzeczy, zdaje sobie sprawę, jakim humbugiem ze strony grupy rządzącej byłoby w dzisiejszych warunkach wszelkie hasło twórczości politycznej. Zauważył bowiem, jak pochowano stopniowo transparenty, demonstrowane buńczucznie na samym początku ery sezonu ogórkowego. Np. „zmiana konstytucji“. Od dzierżycieli władzy dowiedział się, że transparent z tem hasłem schowano, bo niema co o przerabianiu mówić, gdy na całym świecie pojęcia o formach rządu są nieustalone. Posłyszawszy o tem z ust odpowiedzialnych ludzi sezonu, zastanawia się, że potrzebowali sześciu lat edukacji politycznej, aby dojść do tych skromnych wyników, Jeszcze mała chwila namysłu uprzytomnia, że podobnie miała się rzecz ze sprzątnięciem popularnego transparentu, na którym wypisano zasadę „stałości rządów“. Dziś obywatel pogodził się już prawie z kapryśnością przypadku, który co sześć miesięcy obala rząd w Polsce, a przynajmniej usuwa z widowni szereg ministrów. Jeśli nie pogodził się, to w każdym razie musiał uznać że niestałość rządów jest faktem znamiennym. Sięgając myślą w niedaleką przeszłość, widzi jak wywieszone na ulicy transparenty z hasłami politycznej „twórczości“ na wietrze zniszczyły się szybko, niby chińskie smoki z bibułki. Mądrością polityczną *régime*'u — pojmuje to — jest załatwianie potrzeb doraźnych w miarę ich powstawania, uginanie się przed „natychmiastowemi koniecznościami“, uchylanie się przed próbami rozwiązania zagadnień poważnych polskiego bytu.

CZY ŻADNEJ ZAUWAŻYĆ NIE MOŻNA ZMIANY NA LEPSZE — w polskiem życiu publicznem? To pewna, że zmiany takie, jeśli się dokonały, nie są jawne. Przez szereg lat ostatnich wyraźnie obsuwaliśmy się na coraz niższy poziom coraz prymitywniejszego stylu. To w bilansie noworocznym najbardziej uderza. Spadaliśmy, to niewątpliwe. Cały kapitał nadziei i dobrej woli, z jakim rozpoczęliśmy nowy okres niepodległego bytu przed trzynastu laty, rozproszył się (napozór) doszczętnie. To zmarnowano, a w umysły postarano się wrazić co innego. Po 1920 roku Polak, zwłaszcza z młodego pokolenia, wierzył, że jedynie odpowiednie dla narodu są formy życia publicznego zachodnio-europejskie. Było to mniemanie powszechne, oparte na przeświadczeniu, że jesteśmy wschodnią forpocztą Europy. Nikt nie kwestjonował tego, że konstytucja nasza wzorowana być ma na parlamentarnym ustroju państw zachodnich. Bez tradycji politycznej próbowano imitować urządzenia, oparte na tradycji politycznej innych. Konstytucja marcowa przeniosła do Polski nietylko reguły, ale i konwencje (zwyczaje) konstytucyjne demokracyj parlamentarnych Zachodu. Było domniemanie, że zwyczaje konstytucyjne, niesformułowane, w powietrzu przenoszą się tak z Zachodu do Polski, jak z Anglji do Kanady. Dlatego tekst konstytucji marcowej, w najważniejszych jej częściach (np. gdzie mowa o kompetencjach prezydenta lub odpowiedzialności parlamentarnej ministrów) wcale nie jest wyraźny. Konstytucja nie jest logiczną, abstrakcyjną całością. Dopełniać ją miały „konwencje“ konstytucyjne Zachodu, których u nas nie spisywano, bo i tam ich nie spisywano. Dlatego, ze zniesieniem zachodniej tradycji parlamentarnej w życiu polskiem po przewrocie majowym, tak łatwo wyczytać można było z konstytucji marcowej wszelki sens dowolny („interpretować“). Nazywało się to wprowadzeniem nowych „obyczajów sejmowych“, w rzeczywistości było pozbyciem się wszelkich regularnych, a więc wszelkich wogóle. Charakterystyczne, że krytyka polskiego parlamentaryzmu w okresie przedmajowym była także przenoszeniem do nas liczmanów tej krytyki, obiegających na Zachodzie, we Francji, potem także i we Włoszech. Mieliśmy niedoskonałą imitację parlamentaryzmu zachodniego i zachodniej krytyki parlamentaryzmu; potem straciliśmy i jedno i drugie. Zaznaczmy, że strata to większa, niżby się mogło wydawać. W kraju, gdzie istotnie żadnej tradycji politycznej nie było, w naszych warunkach powojennych, każde urządzenie państwa musiało być improwizacją i każda próba musiała być niedoskonała. Wiele było naiwności w przejmowaniu powierzchownem form ustrojowych z ówczesnego Zachodu Europy. Ale ta wiara, żeśmy Europą, przy swoich cechach naiwnych, miała w sobie twórcze i cenne pierwiastki optymizmu. Jednoczyła cały naród; odpowiadała prawdzie tradycji; było w niej pewne poczucie godności narodowej — i ufność, że naród zdolny jest rządzić sam sobą. Kilkoletnie trwanie *régime*'u sanacyjnego zniszczyło tę wiarę w wielu wypadkach zupełnie. Zastąpił ją

pesymizm i niestosowna pokora. Zwolennicy *régime*'u z dziką pasją uprawiają tę nową polityczną — pokorę (pod hasłem „mocarstwowości!"). Myśmy nie Europa, co dobre dla wysoko cywilizowanego Zachodu, dla nas się nie nadaje — to pierwszy artykuł tego *creda*. My rządzić się nie umiemy i nie umieliśmy nigdy; dla nas odpowiedni jest bat: — artykuł drugi. Oba przyjmowane są (w kołach sanacyjnych) z ponurą uległością. Te dwa artykuły są bodaj główne: oznaczają wykreślenie się z Europy i (co bodaj nawet szkodliwsze) — zupełne niezrozumienie wartości cywilizacyjnych dawnej Polski. — Trudno o większe upokorzenie dla współczesnych: lecz sanatorzy, zwłaszcza na reprezentacyjnych stanowiskach, znieśli to dobrze. W duszy są snadź bardzo skromnego mniemania o Polsce; Europy zaś nie znali. Europejskość była nie dla ojczyzny, ale dla Ligi Narodów: od tego był specjalista, minister spraw zagranicznych. Dziś niema już i specjalisty. Nie znaczy to oczywiście, aby nie było ministra spraw zagranicznych: odwiedza on nawet Genewę. Ale to i na scence genewskiej sanator. — Tak więc *régime* przy pozornej agresywności wyraził przedewszystkiem niewiarę w Polskę: i gdy uderza w ton mocarstwowy, ucho polskie słyszy w tem przedewszystkiem ton pokory.

NAUKA I LITERATURA

BIBLJOTEKA JUGOSŁOWIAŃSKA

ZA LAT wojny zaprzyjaźniłem się z rówieśnym mi młodym Chorwatem, do którego zbliżyły mnie wspólne przeżycia. Dolegliwości tych przeżyć koiliśmy rozmową, prowadzoną w ojczystych naszych językach, któremi — pomimo początkowych trudności — porozumiewaliśmy się z sobą jakoś nieźle. Rozmowa zeszła i na literaturę — a między innemi padło w niej nazwisko Sienkiewicza. Przyjaciel mój zdziwił wielce się, słysząc że wielki pisarz był Polakiem: *„Misliah, da on bio Rus"* — „myślałem dotąd, że to był Rosjanin". Okazało się, że w domu swym — kędyś na wyspach dalmackich — miał dzieła Sienkiewicza w przekładzie rosyjskim, a ponieważ rosyjskim obyczajem nie zaznaczono w nich, że to przekład,*) przeto mniemał, iż ma do czynienia z oryginałem... Nie on jeden zresztą żywił to mniemanie... Były to czasy, kiedy imię Polski nie pojawiło się jeszcze na mapach, a południowi Słowianie widzieli w Rosji jedyną swą ostoję nietylko polityczną, lecz niekiedy i kulturalną.

Ale nie wszyscy. Na wiele lat przed wojną byli między Słowianami bałkańskimi i tacy, którzy myśl swą kierowali ku równie jak oni uciemiężonej Polsce — ku tej Polsce, której sławę dawnemi laty śpiewał wielki poeta jugosłowiański Gundulić, — ku tej Polsce, której największy poeta sławił z wysokości katedry uniwersyteckiej uroki starodawnej pieśni serbskiej. I oto na uniwersytecie krakowskim raz po raz pojawiali się młodzi Jugosłowianie, żądni nietylko wiedzy, która w tej uczelni kwitła naówczas tak wspaniale, ale i zbliżenia się do swych pobratymców na północy. Jednym z tych studentów był zapalony polityk, dr. Juljusz Beneszić, który w bieżącym roku święci trzydziestolecie swej nieznużonej pracy literackiej i kulturalnej — w jednej osobie poeta, uczony, tłumacz dyplomata, a przez długie lata kierownik teatru w Zagrzebiu. Teatr, wiedza fachowa i talent literacki — były dlań potrójnem narzędziem propagandy kultury polskiaj na terenie południowej Słowiańszczyzny.

*) Podobnie przekład „Króla olch", dokonany przez Żukowskiego, figurował w chrestomatjach jako oryginalne dzieło rosyjskiego poety. To samo było z „Hiawattą" Longfellowa, gdy dzieło to przełożył któryś z rosyjskich poetów.

Samych dzieł literackich polskich przełożył ponad trzydzieści (w tem Słowacki, Wyspiański oraz nowi pisarze), a jak sumiennie pojmował swą pracę, dowodem choćby to, że do przekładu tego samego dzieła zabierał się czasem dwa i trzy razy kolejno. W Zagrzebiu wystawił wiele dzieł polskiego dramatu, często z powodzeniem. (Jakie echo obudziły w Jugosławji dramaty Wyspiańskiego, świadczy wnikliwa praca na ten temat napisana przez p. Zdenkę Marković, praca doktorska u ś. p. prof. Dobrzyckiego w Poznaniu). Obecnie zamieszkawszy w Warszawie, jest stałym łącznikiem kulturalnym obu słowiańskich narodów.

I radować się możemy, że w rocznicę swego pełnego zasług trudu obdarzył nas prof. Beneszić prawdziwie pięknym upominkiem. Są to już nie przekłady z literatury polskiej na język serbo-chorwacki, ale — *vice versa* — przekłady polskie z literatury jugosłowiańskiej. Powiedzmy odrazu: przekłady mające wielką wartość literacką.

„Bibljoteka Jugosłowiańska" niewątpliwie obejmie wiele tomów. Doszła mnie np. wieść, że w przygotowaniu jest tom zawierający słynnego „Osmana", dzieło wspomnianego już Gundulic'a, w przekładzie Cz. Jastrzębca Kozłowskiego. Niewątpliwie ktoś zajmie się słynnemi rapsodjami o „Królewiczu Marku" (pieśni o Kosowem Polu, tłumaczone niegdyś przez B. Zaleskiego i R. Zmorskiego, opracowywał na nowo przed paroma laty E. Klich). Narazie otrzymaliśmy dopiero trzy pierwsze tomy „Bibljoteki", które w różnorodnym swym charakterze ukazują bogactwo i rozległość pierwiastków, składających się na literaturę południowej Słowiańszczyzny.

Jak Polacy, tak i Jugosłowianie przez wiele lat rozdzieleni byli kordonami politycznemi, wżerającemi się głęboko i boleśnie — jakby łańcuch niewolniczy — w żywy organizm jednojęzycznego i rasowo jednolitego narodu. Tylko, że stan ten w Jugosławji trwał o wiele dłużej i o wiele dotkliwsze wyrył piętna. Jeżeli u nas wpływ kulturalny zaborców przeniknął tylko w niektóre warstwy społeczne, a często był tylko powierzchowny, to w Jugosłowianach uwydatniły się silne różnice regjonalne, naniesione panowaniem Bizantyjczyków, Włochów, Turków, a nawet Węgrów i Niemców, a dotyczące m. in. rzeczy tak kulturalnie ważnych, jakiemi są religja i pismo. Mówię: „rzeczy ważnych", bo właśnie na ich podstawie był rozłam najsilniejszy — tak iż dochodziło do tego, że poczęto Serbów, Chorwatów i Bośniaków uważać za odrębne narody; pogląd ten pojawiał się dawniej niestety i w polskich podręcznikach geografji, gdzie nadomiar złego nadawano Chorwatom niemiecką nazwę Kroatów. Jeżeli nas południowi pobratymcy niekiedy mało wiedzieli o naszych dziejach i naszej kulturze, to trzeba być sprawiedliwym i przyznać, że nasza wiedza o ich dziejach i kulturze bywała częstokroć jeszcze skromniejsza...

Ale wróćmy do trzech tomów „Bibljoteki Jugosłowiańskiej". Gdybym chciał najkrócej wyrazić wspomnianą ich różnorodność, użyłbym tych trzech liter, które widnieją w powojennej nazwie Jugosławji: S. H. S. — *kraljewina Srba, Hrvata i Slovenaca*: królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Albowiem jeden tomik dostał się Chorwatom jeden Słoweńcom, jeden Serbom. Żeby było sprawiedliwie. Ale żeby i prawom literatury stało się zadość, na tem polu dokonano też sprawiedliwego podziału: jeden tomik objął epopeję, drugi nowelę, trzeci dramat.

Pierwszy tom ma wszelkie warunki, by w wielokrotnych edycjach zapewnić sobie trwałe stanowisko w naszej literaturze. „Śmierć Smail-Agi Czengic'a" to dzieło niepospolitego talentu, porywające żywością i rozmachem akcji, wstrząsające głębią uczuć, imponujące doskonałością środków artystycznych. Dla autora, którym jest Iwan Mażuranić, mielibyśmy podziw ogromny, nawet gdybyśmy nie zaznajomili się z arcyciekawą przedmową dra Cihlara-Nehajewa, opowiadającą nam życiorys poety. Oto Mazuranić był nietylko poetą, tworzącym zarówno w ojczystym języku współczesnym i dawnym (uzupełnił wybornie „Osmana" Gundulic'a), jak i w mowie ła-

cińskiej, nietylko filologiem czy publicystą, ale też wojownikiem, politykiem, mężem stanu. Imię jego wiąże się z r. 1848— gdy w swej słynnej odezwie upominał się o wolność Polski— oraz z r. 1861, gdy jako kanclerz Chorwacji brał udział w tworzeniu konstytucji austrjackiej, zdobywając dla swego kraju względną autonomję. A czynem patrjotycznym był i poemat śmierci o Smail-Agi. Poemat ten pod pewnym względem można porównać z „Dziadami“ drezdeńskiemi Mickiewicza. Przedstawia on bowiem męki narodu prześladowanego przez zaborców, który go za bydło — *raja* — uważają. A w sile uczucia i w sile wyrazu nie daleko jest Mazuranić od Mickiewicza. Hasło „zemsty dla wroga, z Bogiem a choćby mimo Boga“ równe miało uzasadnienie czy raczej podłoże w stosunkach, jakie były na ziemiach słowiańskich pod panowaniem Turków.

Przekład, dokonany przez Antoniego Bogusławskiego, jest wręcz znakomity. Jest to chyba jeden z najlepszych przekładów, jakie pojawiły się w naszej literaturze. Uzdolniony poeta, nie od dziś znany jako majster wiersza, a mający głębokie wykształcenie muzyczne, wydobył z rytmu trochaicznego (któremu w polszczyźnie zwykło grozić niebezpieczeństwo monotonji) takie bogactwo melodji, ożywił go taką rozmaitością ruchu, że czytanie tego przekładu — zwłaszcza w głośnej deklamacji — prawdziwie artystyczną jest rozkoszą. Język też mistrzowski. Nie wiem, czy instynkt jakiś, czy też studjum literatury natchnęło Bogusławskiego, żeby obrał sobie niejako za wzór słynne przekłady Siemieńskiego z ich dostojną i bogatą, a nigdy nie przesadną, archaizacją; wszak poemat Mazuranic'a, bądź co bądź, wyrósł z tegoż podłoża, z którego brała często soki twórczość Siemieńskiego (poeci byli sobie niemal rówieśni). Drugim wzorem mógł być dla tłumacza Kasprowicz, mistrz w używaniu wyrazów dosadnych, jędrnych i silnych, wśród których przewagę mają jednozgłoskowe. Nie jest jednak Bogusławski naśladowcą żadnego z tych dwóch poetów; najwięcej czerpie z siebie — i z poematu, który przełożył.

Sławna z czasów wojny światowej góra Lovczen już dawniejszemi czasy cieszyła się wielką sławą jako widownia wielkich bojów. Jest nią w „Śmierci Smail - Agi“, jest i w „Górskim wieńcu“ Piotra Petrovic'a Njegosza. Rzecz ta, dobrze przetłumaczona przez Henryka Batowskiego, ma formę dramatyczną, ale dramatem w znaczeniu ścisłem nie jest. Nadalibyśmy jej — wedle terminologji Wyspiańskiego — nazwę „scen dramatycznych“, gdyby każda ze scen (jak bywa u Wyspiańskiego) była dla siebie dramatem; tego jednak powiedzieć o „Wieńcu górskim“ nie można. Sceny poszczególne zamykają się czasem same w sobie — to prawda — często jednak mają raczej charakter obrazków, pięknych w całości lub w epizodach, ale pozbawionych siły dramatycznej. Tłumacz pisze w przedmowie, że dzieło to uważa raczej za utwór epicki: „Niema jedności akcji, niema intrygi dramatycznej, a charakterystyka osób jest blada i niewykończona. Wynagradzają te braki liczne i wspaniałe zalety — epickie“.

Oczywiście, można się zgodzić z tym poglądem, który dziełu samemu bynajmniej nie zaszkodzi. Władyka czarnogórski Njegosz, który dzieło to stworzył, był poetą szczerym i utalentowanym. Tu i owdzie rażą nas dłuższe tyrady, ale tuż obok spotykamy ustępy pełne niepospolitego wdzięku, lekkości i swobody, to znów momenty silne, świadczące, że nerw dramatyczny był jednak Njegoszowi nieobcy. Brak głównego bohatera, obfitość epizodów, albo i scen rodzajowych — to ostatecznie też się trafiało nawet dobrym dramatopisarzom. Dość wspomnieć „Wilhelma Tella“ Schillera. Umyślnie wspominam tu to dzieło, bo „Górski wieniec“ jest do niego bardzo zbliżony zarówno swem tłem górskiem, jak i głównym węzłem akcji: tajnem sprzysiężeniem przedstawicieli uciemiężonego ludu przeciwko zdrajcom i ciemiężycielom.

Poseł Branko Lazarevicz, uwydatniając w swem pięknem studjum te momenty, w których Piotr Njegosz jest prawdziwie wielkim poetą, zwraca uwagę głównie na siłę jego wizji, oraz na umiejętność spojenia tradycji ludowej z głębią myśli filozoficznej; daje też szeroko ujętą charakterystykę warunków, które się przyczyniły do ujawniającego się często w literaturze jugosłowańskiej — pesymizmu. Pesymizm przesyca utwory wybitnego pisarza słowieńskiego Ivana Cankara, których garstkę („Nowele“) pomieszczono w trzecim z dotychczasowych tomów „Bibljoteki Jugosłowiańskiej“. Jak nas informuje w przedmowie prof. Vojeslav Molé, życie Cankara było „krótkie, ciężkie i smutne“. „Ani jedna z książek jego — z wyjątkiem ostatniej — nie spotkała się z uznaniem; za każdą z osobna autora kamienowano“. Nadmienić trzeba, że owa „wyjątkowa“ książka ostatnia ukazała się wtedy, gdy autor przeżył arcyciężkie chwile podczas wojny światowej. Z tej właśnie książki ostatniej (*Podobe iz sanj* — Obrazy senne) znalazło się najwięcej nowel w polskiej antologji; są one najbardziej nastrojowe i liryczne, a niekiedy kończą się nutą ściszoną, podczas gdy w dawniejszych utworach przeważał sarkazm i bunt. W treści utworów nieraz spotykamy szczegóły Polakowi bliskie. W jednej noweli wspomniane są trupy, płynące po Wiśle, tytuł zaś innej noweli brzmi: „Ojczyzno, ty jesteś jak zdrowie!...“ (*O domovina, ti si kakor zdravje*)...

Na tych trzech tomach, które pod każdym względem przedstawiają się tak korzystnie i chlubnie, nie zamknie się „Bibljoteka Jugosłowiańska“. Życzyćby należało „Bibljotece“ najpomyślniejszego rozwoju oraz jak najprzychylniejszego przyjęcia. Byłoby to zadzierzgnięciem węzłów, zerwanych niemal zupełnie od czasu śmierci Bronisława Grabowskiego, której rocznica przeszła u nas niedawno prawie bez echa. Obszerniej zajął się nią tylko Czech, prof. Bogumił Vydra w rozprawie „*Bronislav Grabowski a Slované*“, „*Slovansky Prehled*“ 1931. Że i poza „Bibljoteką“ ruch na tem polu się zaczyna, dowodem świeżo wydana (nakł. Książnica - Atlas) obszerna książka dr. Józefa Gołąbka o „I. Vojnoviczu“, którą jednakże przyjdzie nam omówić kiedyindziej.

JÓZEF BIRKERMAJER

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Księgarnia F. Hoesicka wydała „Wspomnienia“ znanego malarza J a n a R o s e n a („Wspomnienia“ 1860—1925 r. spisała Anna Leo, str. 274). Znajdzie tu czytelnik sporo ciekawych wiadomości, nietylko odnoszących się do życia i pracy samego autora, lecz i do mnóstwa ludzi, mniej lub więcej znanych czy znakomitych, z którymi był on w stosunkach, wędrując wciąż po świecie, bądź przebywając dłużej w Monachjum, Paryżu, Petersburgu, Lozannie itd., nie mówiąc już o Warszawie. Kogo ten człowiek szczęśliwy nie znał, z kim nie obcował! Potężni monarchowie, znakomici artyści pióra, pędzla i dłuta, wogóle sławni w świecie ludzie — należeli do jego bliskich znajomych, darzyli go przyjaźnią i uznaniem. Stąd też być może, nad „wspomnieniami“ p. J. Rosena unosi się wciąż zorza jasności, chociaż życie jego nie przeszło gładko, bez trudu i walki, nie było pozbawione chwil cięższych i czarniejszych. Ze „wspomnień“ wieje duch zadowolenia z życia, z wyników własnej pracy. Ten człowiek— rzadki wśród artystów-malarzy — wierzy przedewszystkiem w swoją sztukę, w swój talent, i głosy krytyki nie zbijają go z tropu. St. Witkiewicz (p. „Sztuka i krytyka u nas“, artykuł „Na wystawę paryską“) oceniając jego twórczość dowodził, iż tendencją jej (chodziło tu o „Przegląd kawalerji“) jest: „przedstawianie z możliwą ścisłością pętelek, sprzączek, trenzelek, rękawów, szlif, orderów, ostróg, czapraków, chrap, uszu, kopyt końskich i w ogólności drobnych, składowych części ubrania żołnierskiego i końskiego ciała“... Mógł znakomity krytyk cokolwiek przeholować—to mu się zdarzało— niemniej jednak w sądzie powyższym było dużo prawdy, z nią jednak twórca „Przeglądu kawalerji“ wcale się nie liczy, dworuje sobie nawet z podobnych sądów, bo na wystawie w Paryżu otrzymał za ten obraz... srebrny medal. Dla niego ważniejszym jest sąd o jego sztuce cesarza Aleksandra III, niż St. Witkiewicza. „Pan znasz swój zawód, pan maluje i rysuje świetnie, pan zna historję mundurów, nie mówiąc już o talencie“.. Tak przemawiał do p. Rosena władca Rosji, tymczasem St. Witkiewice strofował go kiedyś za to, że „zmarnował swoją pracowitość i sumienność, zdo-

bywając prawdę nie malarską, nie artystyczną, ale tą, której w jego obrazie mogliby się doszukiwać chyba wachmistrze kawalerji". Oczywiście, p. J. Rosen wybiera dla siebie sąd bardziej mu trafiający do przekonania i żyje z nim — nie licząc się z sądami ujemnemi. Przytem, jako człowiek zadowolony z wyników swego talentu, jest łatwowierny, gotów jest nawet uwierzyć temu, co mu prawił generał Rómmel, mianowicie, że „jeśli ułany dziś takie wojsko, to w wielkiej części" jest to zasługą jego, Rosena, i że on obudził w Polakach ducha dziełami swemi (p. str. 271).

Z takiem przekonaniem o sobie i swoich zasługach, z taką wiarą w swój talent, w trud całego życia swego, przeżywał je p. J. Rosen dość pogodnie, wynosząc zeń wspomnienia przeważnie mile, w każdym razie nieobciążające ducha nadmiernemi zgryzotami oraz wątpliwościami. I czytają się te „wspomnienia" — spisane wprawną, czasami tylko nazbyt „literacką" — ręką przyjaciela, z niemałą przyjemnością jako świadectwo, że był przecież artysta-malarz, któremu działo się wcale dobrze i który był zadowolony ze swego losu. (W. J.)

*

Ukazał się niedawno październikowy zeszyt „Ruchu Literackiego" — pod znakiem Józefa Conrada. Rozglądamy ciekawie wysunięte tu zagadnienia. „Powrót Conrada do Polski dopiero się zaczyna" — pisze Rafał Blüth. Rosnący gwar podziwu na widok wspaniałego talentu autora „Murzyna", coraz powszechniejsza znajomość jego dzieł, „coraz to większy wysiłek poznawczy" ku ich ogarnięciu i egzegezie — oto co spostrzegamy dokoła, w opinji literackiej Polski. Łatwo sprawdzić, zajrzawszy do „Literatury" Korbuta, jak mnoży się z roku na rok nasza wiedza o twórczości Conrada, zasobniejsza i bogatsza. Conrad wraca do nas w wydaniu zbiorowem, szeregiem istotnie godnych siebie przekładów.

Zainteresowaniu, które powrotowi temu sprzyja, towarzyszy rozwój analogiczny na Zachodzie, zwłaszcza we Francji. U nas przecież ma on charakter osobliwy. Oto co pisał Żeromski w r. 1925:. „Dla uwydatnienia w całej pełni tego literackiego zjawiska, tego niezwykłego fenomenu piśmiennictwa światowego, niezbędne jest polskie oświetlenia... Krytycy nasi winni zabrać się do studjów nad Conradem, duchem oryginalnym, odmiennym, nowym, zuchwałym wśród naszych wieszczów i pisarzów".

Redakcja „Ruchu" pamiętała tę słowa Żeromskiego. Numer, poświęcony Conradowi, świadczy wyraźnie o zrozumieniu i podjęciu krytycznej myśli pośredniczącej, która nas zbliża do wydarzenia talentu na miarę jedyną i niepospolitą.

Zagaja ów zeszyt szkic — z pozoru tylko biograficzny — „Józef Conrada w Kardyfie", pióra Witolda Chwalewika, który stoi w szeregu najlepszych dziś Conradystów w Polsce. Z interesujących materjałów życiorysowych, spisanych z pieczołowitością zabiegliwą, idą ważne światła na stosunek Conrada do Polski. Artykuł ten zostaje w pamięci nietylko z uwagi na rzeczy nowe, które prawi o Conradzie, ale także przez walory własne: w prostocie jego słowa i zorganizowanej konstrukcji jest to, co trudno nazwać inaczej, jak kunszt pisarski.

Prace pomieszczone zkolei ustalają również polskie szlaki Conrada. Jan Dürr dobywa zapomniane szczegóły o pierwszym przekładzie z r. 1897 powieści „Wygnaniec", prof. Juljan Krzyżanowski „U źródeł publicystyki..." pisarza ocenia polskie elementy jego myślenia politycznego.

Rafał Blüth kreśli w zwartym „rzucie charakterologicznym" — „Ewolucję heroizmu u Conrada". Tenże autor ogłasza w Materjałach wiersz na dzień jego chrztu, pióra ojca, poety Apollona, opatrując tekst źródłowym komentarzem.

Wśród recenzyj znajdziemy surową, ale pełną odpowiedzialności ocenę Chwalewika niedawnej książki Morfa: „*The Polish Heritage of Joseph Conrad*"; J. Krzyżanowski i P. Grzegorczyk omawiają ze znajomością rzeczy Conradiana prof. Dybowskiego. Zeszyt kończą materjały bibljograficzne Piotra Grzegorczyka, „Joseph Conrad w Polsce", zebrane z precyzją wytrawnego bibljografa.

Oto całość, pełna ładu, troskliwie złożona, którą zawdzięczamy kierunkowi prof. Gubrynowicza i żywej inicjatywie sekretarza redakcji, P. Grzegorczyka. Numer „Ruchu" poświęcony Conradowi, wyjść powinien daleko poza prenumeratorów; wśród szerokiej publiczności pozyska niewątpliwie dla pisma nowych przyjaciół. (T. M.)

*

Zeszyt III — IV (rok 35) „Przeglądu Filozoficznego" stanowi zarazem księgę pamiątkową Koła Filozoficznego Słuchaczów Uniwersytetu Warszawskiego z okazji piętnastolecia tej organizacji — zeszyt zawiera wyłącznie rozprawy dawnych i obecnych członków Koła: Bolesława Sobocińskiego, Janiny Hosiassonówny, Edwarda Poznańskiego, Eugenjusza Geblewicza, Diny Sztejnberg, Władysława Śniegockiego, Adolfa Bermana, Estery Markinówny, Romany Wiśniackiej, Ireny Filozofówny, Mieczysława Wallis - Walfisza, Stanisława Ossowskiego, Marji Ossowskiej, Bohdana Kieszkowskiego, Ireny Wołczaskiej - Kurnatowskiej i Jana Mosdorfa. Są to uczniowie i uczenice profesorów: Łukaszewicza, Kotarbińskiego, Witwickiego i Tatarkiewicza. Zeszyt jest bardzo interesujący, odtwarzający w sposób ciekawy zarówno skład osobisty jak i zainteresowania młodego pokolenia filozofów. Uderza duża liczba żydów i żydówek; dalecy jesteśmy od czynienia z owego faktu zarzutu w stosunku do tego zdolnego plemienia, raczej kierujemy tę uwagę pod adresem młodego pokolenia polskiego, zbyt mało zajmującego się filozofją. Zresztą ilość nie rozstrzyga jeszcze o jakości: aby tę ocenić, należałoby do pracy recenzyjnej zaprząc kilku conajmniej fachowców. Dotyczy to zwłaszcza dwóch pierwszych artykułów: p. Sobocińskiego: „Z badań nad teorją dedukcji" i p. Hosiassonówny: „Uwagi w sprawie pojęcia prawdopodobieństwa jako granicy częstości".

Zainteresowania autorów księgi rozkładają się na różne zagadnienia w sposób nierównomierny. A więc: 2 rozprawy z zakresu logiki matematycznej, 2 z zakresu filozofji przyrody, 1 — prakseologji (nauka o czynach ludzkich) 5 z dziedziny psychologji, 2 — estetyki, 1 — semantyki i 3 — historji filozofja. Jak widzimy, góruje psychologja, brak natomiast działu etyki, do którego trudno zaliczyć zarówno rozprawę o prakseologji jak i artykuł p. Kurnatowskiej: „Malebraucha teorja dóbr".

Wobec trudności objektywnej oceny artykułów, możemy jedynie zaznaczyć, które z nich szczególnie nas zainteresowały. A więc: „Analiza operacyjna pojęć fizyki" p. Poznańskiego obrazuje trudności, powstające przy filozoficznej interpretacji ostatnich wyników fizyki. P. Steinberżanka rozważa „Zagadnienie indeterminizmu na terenie biologji", przyczem sympatje autorki są wyraźnie po stronie determinizmu. P. Śniegocki informuje nas o „behawjoryźmie", materjalistyczno - mechanistycznym poglądzie w dziedzinie psychologji, pochodzącym od Rosjanina, Pawłowa a rozwijającym się oprócz Rosji Sowieckiej również w Ameryce (John B. Watson). P. Berman rozważa sprawę „przedmiotu i podziału psychologji społecznej"; uderzające jest, że podając obfitę literaturę (aż 50 dzieł) nie wymienia „Psychologji Społecznej" Zygmunta Balickiego, która omawia m. in. temat poruszony przez autora. Pominięcie to obniża wartość naukową pracy. Ciekawy fragment dziejów wczesnego renesansu w filozofji daje p. B. Kieszkowski w art. „Averroizm i platonizm we Włoszech w ostatnich dziesięcioleciach XV wieku". Dr. Kieszkowski, autor znakomitej rozprawy o Picu della Mirandola, specjalizuje się, jak widać, w renesansie włoskim. Ostatnim artykułem jest rozprawa p. Jana Mosdorfa pod paradoksalnym tytułem: "Czy Comte był pozytywistą" i jeszcze paradoksalniejszą odpowiedzią, obalającą tezę, zdawało się, oczywistą, o przynależności Comta do pozywitywizmu. P. Mosdorf, współpracownik naszego pisma, pracuje obecnie nad większą rozprawą na temat „Filozofji Dziejów Augusta Comta". (A.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W „*Collection Polonaise*" firmy Gallimard w Paryżu, jako nr. 6 wyszła świeżo antologia prozy Norwida p. t. „*Le Stigmate*". Przekładu dokonał tak już zasłużony w tej dziedzinie Paul Cazin, tłumacz „Pamiętników Paska" i „Żywych Kamieni" Berenta. Wybór niniejszy jest bogatszy od dokonanego w r. 1907 przekładu pracy Norwida na jęz. niemiecki przez d'Ardeschah'a (Kaczkowskiego.) W niniejszem tłumaczeniu francuskiem, wydanam zresztą o wiele mniej okazale, niż tamta księga niemiecka, mamy sześć właściwych nowel (Stygmat, Garstka piasku, Bransoletka, Tajemnica lorda, *Adon lees*; Cywilizacja), następnie „Czarne kwiaty i Białe kwiaty" oraz Epilog do „Promethidiona", których to pozycyj nie przełożono na niemiecki, wreszcie „Ostatnią z bajek" (także i po niemiecku.) Zbytecznie przekład francuski daje jeszcze słabiutkiego „Łaskawego opiekuna", natomiast żałować wypado, że pominięto „*Philosophie de la guerre*" oraz „Głębokie Milczenie", które d'Ardeschah przyswoił jednak językowi niemieckiemu.

Tłumacz poprzedził książkę krótkiem ustępem, gdzie przyznając się, że uważa samego siebie za najmniej powołanego do komentowania Norwida, stwierdza pomimo to, że „nie zna nikogo, ktoby płonął żywszym żarem religijnym" niż Norwid, przed którego świętością należy zgiąć kolana („*Il y a la une sainteté, qui fait plier le genou.*") W związku z tem porównywa go Cazin de Claudela, co nie wydaje się słuszne.

Tłumaczeniu zarzucić można pewne uproszczenia sobie trudności ze strony tłumacza i tak np. przepiękna ilustracja poetycka do muzyki Oskara w „Stygmacie" została w przekładzie zastąpiona przez króciutkie streszczenie i podobnież

lapidarny wierszyk w „Cywilizacji" zupełnie zatracił w tłumaczeniu swą rytmikę.

Wreszcie należy żałować, że tekst Norwida nie posiada zupełnie, nawet najniezbędniejszych, przypisów. (S. C.)

*

Istniejące od kilku lat „Koło międzynarodowe dla badania organizacyj politycznych" („*Centre international de documentation sur les Organisations politiques*"), na którego czele stoi prof. Vries de Heekelingen (Ivorne — Szwajcarja), po szeregu wydawnictw, dotyczących faszyzmu (między innemi wydano bibliografję literatury faszystowskiej), wydało świeżo książkę p. t. „*Die nationalsozialistische Weltanschaung*", poświęconą hitleryzmowi. W książce, której autorem jest Vries de Heekelingen, zebrane zostały wyciągi z prac Hitlera (jak np. „*Mein Kampf*") oraz głównych ideologów ruchu narodowo-socjalistycznego, między innemi Rosenberga, Feder'a, Hierl'a, Buchner'a i t. p.

Książka ta umożliwia czytelnikowi zdanie sobie sprawy ze stosunku hitleryzmu do rozmaitych zagadnień politycznych, społecznych gospodarczych, moralnych etc. Jest ona także skorowidzem literatury narodowo-socjalistycznej. Rzecz ta została wydana w Berlinie 1932 r. Str. 186. (W. J.)

*

Któż nie zna sławnych słów Bonapartego, wypisanych nę jego szkolnych wypracowaniach: „*Sainte-Hélène, petite île!*" Jest to właśnie tytuł bardzo interesującej powieści, napisanej przez p. Albéric Cahuet, jaka ukazała się u wydawcy Fasquelle. Akcja rozgrywa się naturalnie na św. Helenie. Poznajemy tam delegatów Francji, Rosji, Austrji, mających śledzić wszelkie poruszenia Napoleona; poznajemy zwłaszcza niegodnego gubernatora wyspy, Hudsona Lowe; poznajemy wreszcie całą kolonję francuską, grupującą się dokoła wygnanego cesarza. Tego ostatniego zobaczymy tylko raz jeden, ale jest on zawsze i wszędzie obecnym. Autor bardzo zręcznie wplata w swoją opowieść idylę młodej Marianne Robinson,— podobnej w sposób frapujący do Marji Walewskiej — i Napoleona. W młodej pannie zakochuje się jednak porucznik de Gors, sekretarz wysłannika francuskiego. Nielitościwy Hudson Lowe, znający idyllę Napoleona i Marianne Robinson, usunie tę ostatnią, zmuszając ją do opuszczenia św. Heleny. Opuści ona tragiczną wyspę, unosząc w sercu wspomnienie cesarza. Książka kończy się też dopiero w 1840 r. w Paryżu, w dniu sprowadzenia doń popiołów Napoleona. Na uroczystości tej jest obecna młoda Angielka w żałobie — to Marianne Robinson. Towarzyszyć zaś jej będzie postarzały de Gors którego uczucia monarchistyczne nie pozwolą na zainteresowanie się nawet wspaniałym i wzruszającym pochodem. Książkę tę czyta się od początku do końca z nadzwyczajnem zainteresowaniem; nie jest jednak ona jakąś powieścią awanturniczą, ale opiera się na dużej znajomości historji, do której autor dorzucił może nieco fantazji, ale bardzo subtelnej. (I. B.)

*

Wśród bogatej literatury kryzysowej wspomnieć należy o niewielkiej książeczce Feliksa Somary'ego p. t. „*Die Ursachen der Krise*" (Tübingen J. C. B. Mohr. 1932 s. 122). Jest ona zbiorem artykułów na powyższy temat, pisanych w latach 1925 — 1931. Autor zdołał przewidzieć szereg zjawisk gospodarczych, które potem w rzeczywistości miały miejsce. W książce na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia kredytowe i walutowe. Podkreśla on specjalną rolę w gospodarce światowej Stanów Zjednoczonych, które, będąc wierzycielem całego świata przez swą politykę gospodarczą, nie pozwalają swym dłużnikom wywiązać się z ich zobowiązań. Autor wskazuje na to, że jesteśmy na progu okresu zniżkujących cen, co wpływa ujemnie na sytuację gospodarczą. Rozróżnia on w kryzysie kryzys rolniczy, uważany przez niego za przewlekły oraz kryzys przemysłowy, który według niego da się zlikwidować przez powrót do liberalizmu. Książka nie daje wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, tkwiące w tytule, jakie są przyczyny kryzysu, może ze względu na to, że jest jedynie zbiorem oddzielnych artykułów. (J. P.)

FILM

COLOSSEUM: „Biały ślad" reż. A. Krzeptowski, wytwórnia „Asterfilm".

Film o Tatrach i ludziach z Tatr zrobiony przez ich syna, górala, Andrzeja Krzeptowskiego. Jako pierwszą zasługę autorów tego utworu należy podkreślić fakt zerwania z dotychczasowym szablonem tematów. Niema tu nic, coby w utartem pojęciu naszych fiimowców było niezawodnym środkiem na „kasę". A wiadomo przecież, jak oni „kasowość" filmu pojmują. Zrywając z romansidłem, szmirą, bujdą, pseudopatrjotyzmem, „białą trucizną", ułanami, kozakami, żydkami, dancingiem i kanapą zrobiło się bezwątpienia duży krok naprzód. Teraz (w przyszłości najbliższej) trzeba się zdobyć na drugi. To znaczy, usunąwszy zło, dać w tym samym zakresie prawdziwe wartości. Mówię o scenarjuszu, i o użyciu materjału ludzkiego. Bo właśnie brak scenarjusza (nie anegdoty) jest głównym błędem „Białego śladu". Niby coś tu się dzieje, a właściwie niema żadnej treści (poza wzrokową), ani jej ciągłości. Dobrze, że wzięto, zamiast często mydłkowatych naszych aktorów filmowych, prawdziwych górali, ale kto każe góralowi kochać się bez wzajemności, wzdychać, smętnieć z tego powodu, ten nie ukazuje go z najbardziej interesującej i najpiękniejszej, ani co ważniejsze — z najprawdziwszej strony. To wszystko jest niepotrzebne. Tembardziej niepotrzebne, że się odbywa na tle tak rzeźkiej i krzepkiej przyrody.

Z przyjemnością kończę o wadach, aby przejść do omówienia zalet. Bo zalety filmu są niebylejakie. Przedewszystkiem prześliczne zdjęcia. Pieczołowicie powybierane fragmenty krajobrazu tatrzańskiego i wielka ich różnorodność. Znakomita praca operatora, takie np. zdjęcia biegu narciarskiego to arcydzieło. Dobry typ górala — właśnie tego, któremu kazano być mazgajem — i szkoda, że tak mało pokazano zbliżeń tej twarzy, jakby odlanej z bronzu.

Nie należy wątpić, że wytwórnia i autorzy tego filmu, ożywieni tak szlachetną ambicją, następny swój utwór zapragną również uczynić dziełem sztuki i zrobią to jeszcze lepiej, niż za pierwszym razem. Szczerze im tego życzymy.

ADRIA PALACE: „Igloo".

Film w typie zbliżony do „Białego śladu". A więc ani romans, ani dramat obyczajowy, tylko poprostu życie eskimosów w ich ojczyźnie, okolicach podbiegunowych. Wartością takich filmów wobec tego nie jest oczywiście napięcie akcji dramatycznej, lub sensacyjność fabuły, tylko ciekawa dla nas egzotyka obcego życia, krajobrazu i obyczaju. Różnorodności nowego dla widza świata nie wyczerpał reżyser „Igloo" w pełni, czyniąc film zbyt jednostajnym. Trzeba było pokazać cały dzień eskimosa: pracę i zajęcia mężczyzn, kobiet i dzieci, obyczaje i obrzędy. Tego wszystkiego w filmie jest trochę zamało, w stosunku do żywszych scen polowania i zbyt długich i mniej zajmujących obrazów ciągłych wędrówek po śnieżnej pustyni i krach lodowych.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Suchodolski Bogdan. Ideały kultury a prądy społeczne. Warsz. 1933. Nasza księgarnia (z portretami). S. 527.

Rybarski Roman. Przyszłość gospodarcza Polski. Warsz. 1932. S. 221.

Szmydtowa Zofja. O misterjach Cyprjana Norwida. Warsz. 1932. Kasa im. Mianowskiego. S. XII i 195.

Wyspiański Stanisław. Weimar 1829. Fragmenty 1904. Tłumaczył A. E. Balicki. Kraków 1932. S. 15.

Robertus Expertus. Z księgi gołych (Wiersze humor.). Warszawa 1933. Wydaw. Spółki Goljaszów.

Kwartalnik Pedagogiczny. 1932. Nr. 3 — 4.

Organizacja życia akademickiego. Informator 1932/33. Warszawa 1932. Wyd. Nacz. Kom. Akad. S. 128.

Zakrzewska Helena. Pojednanie. Opowieść o niedźwiedziu tatrzańskim. Z ilustracjami Leli Pawlikowskiej. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej.

Gąsiorowski Wacław. Dobosz Woltyżerów. Powieść historyczna. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej.

Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Warszawa 1932. Nakładem Tow. Nauk. Str. 92.

Urke-Nachalnik. Życiorys własny przestępcy. Z przedmową prof. Stef. Błachowskiego. Opracował St. Kowalski. Poznań 1933. Tow. opieki nad więźniami. Patronat. Str. XIX i 382.

OD ADMINISTRACJI

Część nakładu ostatniego zeszytu „Myśli Narodowej" nie doszła, z powodu konfiskaty, do rąk prenumeratorów. Ci z Szan. Prenumeratorów, którzy wspomnianego zeszytu nie otrzymali, proszeni są o zawiadomienie Administracji „Myśli", a wysłany im będzie zeszyt z nakładu drugiego, wydanego po konfiskacie.

OFENSYWA

CAMERA OBSCURA

I

„Polska Zbrojna". Zygmunta Lityńskiego: „Feljeton o feljetonie".

„Feljeton powstał jak wiemy, w pierwszych dziesiątkach lat ubiegłego wieku. Trudno o gorsze czasy dla dziennikarstwa. Szalejący teror napoleoński pozwalał Francji myśleć tylko o tem, o czem myślał Cesarz. Nie było to wiele, jak na tak wielki naród. Dzienniki, prócz komunikatów urzędowych, nie miały o czem pisać; wszystko inne cenzura wykreślała, jako szkodliwe dla powagi cesarstwa. Harn, w swojej „Historji grazety francuskiej", przytacza kurendę rządową, rozesłaną do ważniejszych redakcyj, z której wyjmujemy następujące zdanie: „...Wszelkie wiadomości, nieprzychylne dla rządu, nie mają być publikowane, zanim nie zostaną sprawdzone z taką dokładnością, że — będąc już wszystkim znane — drukowanie ich stanie się bezprzedmiotowe"... Gorsze było to, że prócz wyżej wymienionych komunikatów, każda wiadomość była w gruncie rzeczy antyrządowa. List z Londynu, wychwalający piękną pogodę nad Tamizą, nie mógł się ukazać, gdyż nigdzie nie było piękniej, jak we Francji napoleońskiej; ogłoszenie: „Kupuję antyki" — było niebezpiecznem przypominaniem przeszłości; nawet czcigodny „*Journal des Debats*" musiał zmienić tytuł na „*Journal de l'Empire*," bo za debatowanie szło się do kryminału. Bertin starszy, zrozpaczony wydawwca tegoż „*Journal de l'Empire*", spędził wiele nocy bezsennych, zastanawiając się, coby drukować, ale w taki sposób, by — stosownie do woli Cesarza — nie wzbudzić ani jednej myśli! Wkońcu zawołał Geoffroy i kazał mu napisać pierwszy feljeton.

Sukces był niesłychany. Nakład rozkupiono w parę godzin. Po miesiącu „*Journal de l'Empire*" miał dwa razy tyle abonentów. Naród francuski przestał myśleć jak jeden mąż".

II

Sanacyjny „Czas" krakowski o wileńskiem „Słowie":

„Nie polemizujemy z wileńskiem „Słowem" z trzech powodów:

1) publiczną polemikę z pismem bądź co bądź konserwatywnem uważamy za niewłaściwą,

2) polemizujemy tylko z argumentami, a nie z insynuacjami;

3) polemizujemy tylko z logiczną argumentacją, a nie z alogicznemi, choć może czasem efektownemi impresjami"

III

Wojewoda białostocki b. poseł Zyndram Kościałkowski w mowie swojej na zjeździe B. B. we Wilnie dnia 13. St. 1929:

„Skarb mamy pełny, albowiem wielkie rezerwy skarbowe zgromadzono, które rząd w każdej chwili może rzucić na szalę wypadków. Walutę ustabilizowano, budżet zrównoważono, silną władzę w państwie i stały prestiż państwa podniesiono, uznanie mamy wielkie ze strony zagranicy".

IV

P. I. Matuszewski w dyskusji budżetowej dnia 5 gr. 1929:

„Nasz rynek pieniężny upłynnił się. Wiele oznak wskazuje na zbliżanie się końca złej konjunktury finansowej... Mimo, że sytuacja jest subjektywnie ciężka, mimo, że teraz właśnie najboleśniej odczuwamy trudności już w znacznej mierze przezwyciężone, to jednak objektywnie stwierdzić należy, że istnieją wszelkie dane, że sytuacja już zmierza ku poprawie i przypuszczać wolno, że rok przyszły (tj. r. 1930) będzie rokiem pokryzysowym, nie zaś rokiem kryzysu".

V

„Zielony Sztandar", konfiskowany w 90% organ Piastowców, w nieskonfiskowanym numerze z Listopada:

„Jedną z dotkliwie odczuwanych bolączek chłopów, przyjeżdżających na targi i jarmarki do miast, są opłaty targowe, pobierane przez władze miejskie, w wysokości jaskrawo różniącej się od cen za artykuły rolnicze. Opłaty te, wpłacane przez chłopów, nie zawsze, jak się okazuje, idą do kas miejskich, często wpływają one i do kieszeni prywatnych. Oto jedno z pism stołecznych podało wiadomość, że Związek producentów warzyw w Warszawie wydzierżawił plac od p. Stefana Piłsudskiego, znajdujący się tam przy ul. Grójeckiej. Na tym placu odbywają się targi, każdy przyjeżdżający wozem na targ musi płacić 50 groszy za postój. Za to p. Stefan Piłsudski za wydzierżawienie tego placu na rok 1931 otrzymał 47 tysięcy 668 zł. 29 gr. Pan Stefan Piłsudski, który odnajmuje plac na targowisko, każe sobie płacić grube tysiące, które potem ściąga się z chłopów, przywożących produkty, w formie opłat targowych".

VI

„Gazeta Polska" cytuje moskiewskie „*Izwiestja*":

„Oderwani od masy robotniczej — zarażają się biurokratyzmem, karjerowiczostwem, wykorzystują swe stanowiska w celach zysku. Tu najczęściej można napotkać lekkomyślny stosunek do wydatkowania środków państwowych, mydlenia oczu („*oczkowtiratielstwo*", polegające na fałszowaniu danych statystycznych i raportów, P. A.), rozkład moralny, a także siedzenie na dwóch stołkach („*dwurussniczestwo*") pod względem politycznym".

VII

Działo się w Wilnie

Cytata ze „Słowa":

„Wczoraj w godzinach wieczornych na ulicy Antokolskiej strzelił do siebie zredukowany urzędnik Włodzimierz Moskalew. Naturalnie, dlatego że został zredukowany. Przewieziono go do szpitala św. Jakóba. Na odgłos strzału, na widok padającego ciała podbiegł szybko jakiś przechodzień. Inni zaobserwowali ten moment. W jakim celu podbiegł przechodzień? Aby ratować samobójcę? Nie. Schylił się, wyrwał rewolwer z ręki rannego i nim kilku gapiów, którzy zlecieli się na widowisko, zorjentowało się — zbiegł ze swoją zdobyczą".

VIII

Antologję myśli polskiej XIX i XX wieku, opracowaną przez B. Suchodolskiego pt: „Ideały Kultury a Prądy Społeczne, nakładem Związku Nauczycielstwa Polskiego, 1933 zamyka ustęp z odczytu J. Piłsudskiego pt. „Demokracja a Wojsko", kończący się takiem zdaniem:

„Prawo i honor, honor i prawo! Wahając się między miłością dla siły, a miłością dla swobody, prócz prawa i honoru nic nie znajduję!".

IX

W ankiecie miesięcznika italskiego: „*Educazione Fascista*" pod redakcją senatora Gentile, obok G. B. Shaw'a, Galsworthy'ego, J. Romains'a, Hauptmann'a, T. Mann'a wkręcono też do zabrania głosu z Polski p. Kadena Bandrowskiego *(sic)* Temat był: stosunek pisarzy Europy do literatury i kultury włoskiej.

Kaden Bandrowski, reprezentacyjny pisarz Polski z ery J. Piłsudskiego, nablagował między innemi co następuje:

„Przeprowadzając kiedyś studja dla swej powieści nad życiem naszych górników w zagłębiu węglowem, czytałem stale „Serce" Amicisa. Po powrocie z kopalni, strudzony, złamany fizycznie, z głową pełną krwawych guzów, nabitych na niskim pokładzie węglowym, pełen rozpaczy nad losem ludzkim i nad żywiołem świata, ja, wówczas już trzydziestokilkuletni człowiek, legjonista, były uczestnik wojny światowej,—płakałem, jak dziecko, u siebie, w lichem mieszkanku robotniczem — nad Amicisem". Wierz albo nie wierz.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Profesorowie wykładają pracowicie Sanatorom, jak dalece szkodliwa dla szkół jest ustawa, którą projektują. A oni się śmieją:

— Im lepiej zrozumiemy, że to jest szkodliwe, tem gorliwiej projekt poprzemy.

*

Są ludzie, którym pochlebia, że ktoś szuka drogi do ich sumienia. Nie powiedzą, że go nie mają.

*

Jeszcze zabawniej rzecz się ma z argumentami, apelującemi do rozsądku.

— *Quod mihi hodie — tibi cras.* Przecież te ustawy, które dziś uchwalacie, jutro zwrócą się przeciwko wam...

— Jutro? A czy już jutro tu będę? Świat jest szeroki!

TREŚĆ:

Naród i jego zwierciadło *Z. Raczkowskiego.* — Dwa bieguny współczesności *St. Cywińskiego.* — Atmosfera warszawska przed 90 laty *Z. Wasilewskiego.* — Omar Chayyam: Rubayiat, przekład *M. Wolskiej* i *M. Pawlikowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Nauka i literatura („Bibljoteka Jugosłowiańska" *J. Birkermajera* i t. d.). — Film *Kandyda.* — Nowe książki. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.